

Nr 5 (120) – B Rok 20

Wrzesień-Październik 2014



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.
Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна
☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38
E-mail: vykovaliv@gmail.com
Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.
ISSN 1429-4109
Wydawca wersji polskojęzycznej:
✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T code: POLUPLPR

~ ~ ~

“Wołyński Słownik Biograficzny”:

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

“Dziennik pisany nad Horyniem”:

<http://ostrog.blox.pl/>

Jesteśmy w Facebook’u:

<http://www.facebook.com/Wolanie/>



SPIS TREŚCI

- s. 3-5: Bp Witalij SKOMAROWSKI, *Sluga Boży ks. Władysław Bukowiński pomaga nam iść drogą życia chrześcijańskiego*
- s. 6-8: Danuta LENIK, *Przyjaciel Boga i ludzi*
- s. 9: Łucja ZALEWSKA, *Totus dla „Wołania z Wołynia”*
- s. 10: Anna ŁUCHTAJ, *Prypeć 2014*
- s. 11-12: Ks. Mieczysław MALIŃSKI, *Cierpliwość*
- s. 13-20: Maria KALAS, *Moja babcia Maria Titarenko (cz. 1/2)*
- s. 21-25: Andrzej ŻARCZYŃSKI, *Madonny Kresowe na polskich znaczkach pocztowych*
- s. 26-30: Konstanty PILECKI, *Włodzimierz i Irena*
- s. 31-40: Ryszard M. KLISOWSKI, *«Luck-Holocaust» – od przeżyć wojennych do kształtu brzmieniowego*
- s. 41-45: Walery SZEWCZUK, *Ojciec Dobrodziej*
- s. 46-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Kasper Kazimierz Cieciszowski 1798-1828*

Dostajemy często zapytania „**Gdzie można nabyć «Wołanie z Wołynia» i Wasze książki?»**”

Aby otrzymać tradycyjną („papierową”) wersję naszego czasopisma należy zwrócić się listownie na adres:

ks. Witold-Yosif Kovaliv
Ośrodek „Wołanie z Wołynia”

skr. poczt. 9
34-520 Poronin, Polska
lub

o. Вітольд-Йосиф Ковалів
вул. Кардашевича, 1
35800 м. Острів, Україна
e-mail: vykovaliv@gmail.com

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2013 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej są dostępne pod adresem:

http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/

Nasze czasopismo i książki z serii „Biblioteka «Wołania z Wołynia»” można nabyć także w:

Antykwariat Kresowy
Krzysztof Kołtun

ul. Lwowska 13 J, 22-100 Chełm,
Polska


tel. +48 82 564 72 99

e-mail: antykwariat-kresowy@o2.pl



Republika Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”



Słowo pasterza - Слово пастыря

SŁUGA BOŻY

KS. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

POMAGA NAM IŚĆ DROGĄ ŻYCIA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO

List Pasterski na początek Nowenny za przyczyną Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego w kościołach diecezji łuckiej

Umiłowani Bracia i Siostry!

Opatrzność Boża prowadzi nas różnymi drogami życia. Tak było również i z tymi, którzy przed nam pracowali i trudzili się na tych ziemiach. Ziemia Wołyńska bogata jest świętymi i błogosławionymi. Wypada wspomnieć choćby św. Zygmunta Szczęsnego Fełńskiego, bł. Jana Beyzyma SI, bł. Małgorzatę Szewczyk czy Sług Bożych ks. Władysława Bukowińskiego, o. Serafina Kaszubę OFMCap czy biskupa Adolfa Piotra Szelażka.

W najbliższym czasie będziemy obchodzić trzy ważne rocznice z życia jednego z nich, a mianowicie ks. Władysława Bukowińskiego, którego Kościół i rodacy zwykli nazywać Apostołem Kazachstanu. Będziemy obchodzić następujące rocznice:

❖ 110. rocznicę urodzin: 22 grudnia 1904 r. wg kalendarza juliańskiego, a za naszym kalendarzem gregoriańskim 4 stycznia 1905 roku;

❖ 40. rocznicę śmierci: 3 grudnia 1974 r. w Karagandzie;

❖ i 75. rocznicę zostania proboszczem katedry łuckiej w listopadzie 1939 r. w warunkach okupacji sowieckiej (tzw. Pierwsze Sowiety).

Rocznice te są dla nas okazją podjęcia Nowenny za przyczyną ks. Władysława Bukowińskiego, która będzie trwać przez dziewięć niedziel, począwszy od 5 października 2014 roku.

SŁUŻBA KAPŁAŃSKA

KS. WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO
W DIECEZJI ŁUCKIEJ

Dnia 18 sierpnia 1936 r. ks. Władysław Bukowiński otrzymał roczny urlop w archidiecezji krakowskiej i na własną prośbę wyjechał na Kresy Wschodnie. Po roku zwrócił się z prośbą do metropolity krakowskiego księcia Adama Stefana Sapiehy o przedłużenie urlopu na kolejne dwa lata, aby mógł kontynuować pracę rozpoczętą w Łucku. 11 czerwca 1939 r. zwrócił się z prośbą o udzielenie ekskardynacji z archidiecezji krakowskiej do diecezji łuckiej. W sierpniu 1936 roku został wykładowcą w seminarium duchownym w Łucku. Wykładał katechetykę i socjologię. W roku 1938 został sekretarzem Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej i równocześnie redaktorem czasopisma Akcji Katolickiej „Spójnia” oraz dyrektorem Wyższego Instytutu Wiedzy Religijnej i zastępcą redaktora „Życia Katolickiego”. Od września 1939 roku był proboszczem katedry w Łucku. Był to trudny, wojenny czas. Katechizował dzieci i przygotowywał do sakramentów. Podtrzymywał na duchu parafian, pomagał uciekinierom, żołnierzom, rodzinom wywiezionych. Pomagał ludziom biednym, rozdając wszystkie własne pieniądze. Chodził w zniszczonym ubraniu i czasami pomagali mu zyczliwi ludzie, naprawiając buty czy sutannę.

Ks. Bukowiński głosił w łuckiej katedrze płomienne kazania, pełne pokoju i miłości chrześcijańskiej, na które przychodziły tłumy ludzi, również prawosławnych Ukraińców. Kazania te odznaczały się wysokim poziomem intelektualnym, a zarazem prostotą



przekazu, tak że były zrozumiałe dla wszystkich. Był niezwykle inteligentny, życzliwy, pogodny, otwarty dla ludzi, łatwo nawiązywał kontakty, wykazywał się też dużym poczuciem humoru, co zjednywało mu życzliwość ludzką, pomagało w prowadzeniu katechez i dawało większe owoce pracy duszpasterskiej.

Dla młodzieży zorganizował kurs historii Kościoła: na wykłady, które prowadził osobiście, młodzi przychodzili w tajemnicy raz w tygodniu do zakrystii kościoła katedralnego.

W styczniu 1940 roku podczas pierwszej okupacji sowieckiej Wołynia sowiecki milicjant złapał na ulicy ks. Bukowińskiego i dając mu miotłę, kazał odgarnąć śnieg z ulicy. Była to prowokacja. Ks. Bukowiński z pokorą i spokojem zamiatał ulicę, aż do czasu, gdy milicjant sowiecki powiedział: „хватить” (starczy).

W czasie wojny Bukowiński odwiedzał chorych, starych, samotnych, załamanych po stracie najbliższych. Organizował dla nich pomoc materialną i opiekę dla obłożnie chorych, których często odwiedzał nocą, aby udzielać im sakramentów. Urządzał rekolekcje stanowe i ogólne, aby w tak trudnym czasie podtrzymywać na duchu i umacniać słowem Bożym.

Polaków przywożonych przez Sowieców na stację kolejową w Łucku celem deportacji na Syberię i do Kazachstanu odwiedzał ks. Bukowiński, niosąc im słowa pociechy i otuchy, modląc się razem z nimi. Chował też na miejscowym cmentarzu małe zamarznięte dzieci w czasie transportu jadącego na zesłanie. Do dzisiaj świadkowie podkreślają jego niezwykłą dobroć i miłosierdzie zaradzające wszelkiej ludzkiej nędzy, nie tylko materialnej, lecz również wewnętrznej, duchowej, a Ojciec Święty Jan Paweł II nazwał te czyny heroizmem świadka i pasterza.

Te jego heroiczne czyny stały się powodem, że został aresztowany 22 sierpnia 1940 roku i uwięziony przez NKWD. Przebywał w łuckim więzieniu do 26 czerwca 1941 roku. Cudem uniknął śmierci w czasie masowego rozstrzelania więźniów przed wkroczeniem Niemców. Po wybuchu wojny so-

wiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 roku Sowieci przed swą ucieczką z Łucka wymordowali dużą ilość więźniów polskich i ukraińskich. Bukowiński ranny i nieprzytomny leżał przez pewien czas pod zwłokami i to go uratowało, bo gdy odzyskał przytomność i wydostał się spod ludzkich ciał, w więzieniu byli już Niemcy.

Opuścił więzienie skrajnie wyczerpany i wynędzniały tak bardzo, że niepodobna było go poznać, a mimo to dalej pełnił powierzoną mu posługę proboszcza w łuckiej katedrze i znowu aktywnie pomagał uciekającym i jeńcom, ratował żydowskie dzieci, organizował pomoc materialną, zwłaszcza żywności dla głodujących. Dzielił się z potrzebującymi wszystkim, co miał.

Jesienią 1942 roku z pomocą siostr benedyktynek organizował dożywianie dla jeńców w więzieniach. U władz niemieckich załatwił pozwolenie na udział więźniów w nabożeństwach. Więźniowie – także niewierzący – przychodzili na nabożeństwa do katedry i w ogromnym skupieniu słuchali słów księdza głoszącego słowo Boże w języku rosyjskim. Więźniowie modlili się, jak kto umiał: niektórzy po raz pierwszy w życiu. Wszyscy wracali umocnieni nadzieją. Niestety, po kilku tygodniach władze niemieckie cofnęły pozwolenie na taką formę duszpasterstwa.

Warto podkreślić, że w okresie posługiwania w Łucku ks. Władysław zaprzyjaźnił się z ks. Bronisławem Drzepeckim, wicerektorem i wykładowcą seminarium duchownego, oraz ks. Józefem Kuczyńskim odpowiedzialnym za Akcję Katolicką w diecezji łuckiej. Przyjaźń ta przetrwała czasy więzień i łagrów, ułatwiając im posługę duszpasterską w Kazachstanie, gdzie byli jednymi z pierwszych kapłanów po II wojnie światowej.

W nocy z 3 na 4 stycznia 1945 roku został aresztowany i wraz z biskupem Adolffem Szelążkiem i ks. Karolem Gałęzowskim uwięziony w budynku NKWD w Łucku. Następnie dziewięć lat ks. Władysław spędził w sowieckich więzieniach i obozach w Kijowie, nad Bajkałem, w Czelabińsku i Dżekazganie. Po wyczerpującej kilkunastogodzinnej pracy odwiedzał on chorych w więziennych szpitalach, współtowarzyszy nie-

doli podtrzymywał na duchu i wzmacniał w wierze, udzielał sakramentów świętych i prowadził rekolekcje w różnych językach. W obozie napisał i wykladał historię Polski. W 1954 r. ks. Bukowiński został odprawiony do Karagandy, gdzie przymusowo pracował jako stróż, a podziemiem zajmował się działalnością duszpasterską. Wtedy udało mu się zrealizować podróże misyjne do Ałmaty, Semipałatyńska, Aktiubińska i Tadżykistanu. Następnie, w 1958 roku znów został aresztowany i na trzy lata zesłano go do obozów. Trzy raz więziony, ogółem w więzieniach i obozach przebył – jak sam pisał – 13 lat, 5 miesięcy i 10 dni.

Odbywszy karę ks. Władysław Bukowiński kontynuował swoją działalność pasterską w Karagandzie, w domach prywatnych odprawiając Msze św., katechizując i udzielając sakramentów świętych. Tak w niestrudzonej posłudze przeżył kolejnych kilkanaście lat, ks. Władysław Bukowiński z różańcem w ręku ukończył swoją ziemską pielgrzymkę.

* * *

Tak o ks. Władysławie Bukowińskim napisał Ojciec Święty Jan Paweł II: „*Cieszę się, że postać tego bohaterskiego kapłana nie idzie w zapomnienie. Przeciwnie, pozostaje on w pamięci wielu jako heroiczny świadek Chrystusa i pasterz tych, którzy doświadczyli prześladowań z powodu wiary i pochodzenia. Nigdy ich nie opuścił. Dobrowolnie poszedł na zesłanie, aby dzielić ich los. Bogu dziękuję, że mogłem go osobiście poznać, budować się jego świadectwem i wspierać w każdy możliwy w tamtych czasach sposób. Nigdy oprócz modlitwy nie prosił o nic dla siebie, ale zawsze był otwarty na wszystko, co mogło dać oparcie w wierze i w cierpieniu tym, których Pan Bóg powierzył jego pieczy. Podziwiałem jego oddanie i duszpasterski zapał. Niestraszne mu były przeciwności, nawet więzienie, byle tylko uciśniony Lud Boży mógł czerpać z jego posługi*”.

ZACHĘTA DO PODJĘCIA NOWENNY

Wyznając wiarę katolicką, wyznajemy, że wierzymy także w świętych obcowa-

nie. Jest to wiara w to, że przebywając już w chwale niebieskiej, święci oredują za nami i wypraszają nam potrzebne łaski. Przed zaliczeniem kogoś do grona błogosławionych, Kościół bada jego życie, heroizm i jego cnót i wzywa wiernych do modlitwy o łaski za jego wstawiennictwem. Ostatnim elementem, koniecznym dla beatyfikacji danej osoby, jest potwierdzenie, że taka modlitwa była wysłuchana i człowiek otrzymał łaskę, o którą prosił. Dlatego ważnym jest, aby modlić się w jednej intencji i prosić o coś jednego.

Zachęcam do podjęcia tej szczególnej modlitwy, która napełni nasze serca i pomoże nam w drodze do pełnego poznania Jezusa Chrystusa. Ks. Władysław Bukowiński, niestrudzony i heroiczny kapłan, współpracownik świątobliwego biskupa Adolfa Piotra Szelażka, więzień sowieckich obozów, może być i jest naszym patronem w obecnych trudnych czasach.

Ks. Władysław Bukowiński pośród wielkich wstrząsów, które dotknęły umęczoną diecezję łucką w XX wieku, mężnie stał u boku swego Pasterza, również Sługi Bożego, ks. biskupa Adolfa Piotra Szelażka. Nie opuścił swych parafian, za co został uwięziony. Zachował spokój i ufność w Opatrzność Bożą nawet w sowieckich więzieniach i łagrach. Odbarżony prorocką wizją głęboko wierzył w nadejście nowego czasu dla diecezji łuckiej, czego nie doczekał, ale mu jesteśmy tego świadkami.

Niech modlitwa za jego przyczyną pomaga nam nie tylko odkrywać wspaniałe tradycje i bogate dziedzictwo duchowe, ale przede wszystkim iść drogą życia chrześcijańskiego.

Życząc Wam wszystkim wytrwałości w modlitwie i i szczodrych jej owoców duchowych, ze szczerego serca błogosławię: w Imię Ojca, ✠ i Syna, ✠ i Ducha ✠ Świętego.

✠ **Witalij Skomarowski**
Biskup Łucki

Łuck, 1 października 2014 roku, w dzień uroczystości św. Teresy od Dzieciątka Jezus, dziewicy i Doktora Kościoła, patronki diecezji łuckiej

Do 40. rocznicy śmierci Sługi Bożego ks. Wł. Bukowińskiego

Do 40-oї річниці від дня смерті Слуги Божого о. В. Буковинського

PRZYJACIEL BOGA I LUDZI

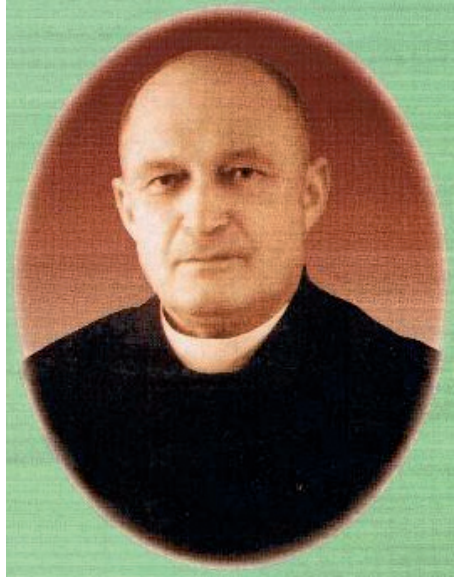
„Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich. Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeżeli czynicie to, co wam przykazuje” (J 15, 13-14).

Bóg z wysokości nieba, z wyżyn swego majestatu pochyła się nad człowiekiem, by obdarzyć go kolejnym skarbem: przyjaźnią. Czyż to za mało, że okazał nam swą łaskę, że się nad nami ulitował, że nas wydobył z nędzy, grzechu i ciemności...? Sam Bóg pragnie się z człowiekiem zaprzyjaźnić – można odrzucić taką ofertę? Być przyjacielem Boga to obcować z Nim na modlitwie, Jemu powierzać swoje sprawy i troski, Jemu ufać i Jemu być wiernym: z Nim wędrować przez każdy kolejny dzień swego życia.

Z pewnością wielkim przyjacielem Boga był Ks. Władysław Bukowiński, który dla tej przyjaźni gotów był na wszystko: dla tej przyjaźni przeżył koszmar wojny, piekło łagrów, prześladowania, upokorzenia, nędzę... Przeszedł przez to wszystko nie tylko dla przyjaźni, ale z Przyjacielem.

Oto jedno z jego wspomnień:

„Było to jeszcze w 1940 roku podczas mojego pierwszego uwięzienia... Sędzia śledczy nawet nie umiał prowadzić śledztwa i raz po raz zapędzał je w ślepy zaułek [1]. Choć ja mu powiedziałem wszystko, co można było powiedzieć, on żądał, bym powiedział jeszcze więcej. Raz po raz on mi mówił: ‘nadumajties’ – ‘namyślcie się’; sam czytał gazetę, a ja siedziałem w kącie na taborecie i zamiast ‘nadumywać się’ cichutko na palcach odmawiałem różaniec. Tak było przez dobrych parę dni,



**Sługa Boży ks. Władysław Bukowiński,
duszpasterz Wołynia
i apostoł Kazachstanu**

aż wreszcie mój pan śledczy coś zauważył. Wysunął głowę spod gazety, a zapytał: a co wy tam robicie? – Ja: modłę się do Boga. – On zrywa się z miejsca i wrzeszczy na całe gardło: tutaj surowo się zabrania modlić się do Boga! – Ja: niech się pan uspokoi, w przyszłości będę się modlić tak, by pan tego nie zauważył” [2].

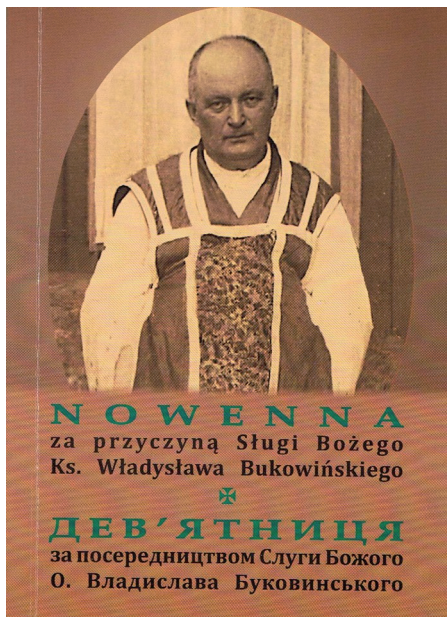
Ks. Władysław tak mówi o swojej zażyłości z Nim: „Któż może mi zabronić się modlić? Co najwyżej może się tylko sam ośmieszyć. Modlić się można naprawdę zawsze i wszędzie, byle tylko była dobra wola ku temu. Ciało można zamknąć i nawet całymi latami trzymać w pojedynczej

celi więziennej, lecz nie uwięzi się ducha, który i stamtąd znajduje drogę wprost do Boga!" [3].

Przyjaźń z Bogiem stała się też źródłem przyjaźni z ludźmi. O tej ludzkiej przyjaźni świadczy jego niezwykła dobroć i wierność tym, do których został posłany, gdyż wśród nich pozostał do końca: mimo ciężkiej choroby i możliwości powrotu do kraju, za którym przecież tak tęsknił. O tej przyjaźni świadczą też setki listów, które pokonując tysiące kilometrów łączyły bliskie serca. W listach tych on sam pisze jak cenna jest dla niego ta więź: „Dobrze wiemy, co nas łączy ze sobą. Gdyby nie On, pozostałoby najwyżej odległe wspomnienie i nie byłoby wogóle tej korespondencji... Choć list dzisiejszy omawia mało budującą stronę mego życia, to jednak płynie on z przyjaźni, która szczerze się dzieli nie tylko tym, co raduje, lecz także i tym, co boli... Otóż przyjaźń ma to do siebie, czego nie można powiedzieć o zwykłym koleżeństwie, iż ona się nie starzeje i wpływ czasu raczej jeszcze ją pogłębia... Prawem przyjaźni jest wspólnie przeżywać troski i radości i to troski jeszcze głębiej niż radości...” [4].

Wśród swoich najbliższych przyjaciół, Ks. Bukowiński wymienia Ks. Bronisława Drzepeckiego i Ks. Józefa Kuczyńskiego, z którymi – jak mówił – zaprzyjaźnił się z wyraźnej woli Bożej. Ich podobne losy: więzienia, prześladowania, łagry i trudne duszpasterstwo na terenie rozległych republik ZSRR umacniały tę dozągoną przyjaźń, która prowadziła ich na szczyty heroizmu [5].

O tym, jak bardzo cenil sobie przyjaźń świadczy też fakt, że swoje wspomnienia, napisane na prośbę Ks. Kard. K. Wojtyły, zatytułował: „Wybór wspomnień i informacji dla moich przyjaciół”. Dzisiaj gro-no jego szczególnych przyjaciół stanowi Stowarzyszenie im. Ks. Władysława Bu-



kowińskiego „Ocalenie”, które działa od czerwca 2006 roku [6]. Jest to wspólnota osób, które modląc się za przyczyną Sługi Bożego Ks. W. Bukowińskiego czerpią nadal z tej przyjaźni ubogaconej o łaski nieba. Celem Stowarzyszenia jest troska o kult i pomoc w prowadzeniu procesu beatyfikacyjnego, a także wsparcie osób duchownych i katolików na Wschodzie. Za przyczyną Sługi Bożego otrzymano już wiele szczególnych łask, dlatego wciąż aktualne jest zaproszenie do tej przyjaźni, w imię której modlimy się:

Boże Ojcze, który zleciłeś duszpasterską posługę Twemu Słudze Ks. Władysławowi nawet w więzieniach i łagrach, obdarzając go wielką wiarą, odwagą i przebaczącą miłością, udzieli mi tych samych darów potrzebnych do życia Ewangelią we współczesnym świecie. Za przyczyną Twego Sługi wysłuchaj moją modlitwę i obdarz mnie

**laską, której tak bardzo potrzebuję.
Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.**

Od kilku lat 14 lutego nasz kraj – podobnie jak wiele innych – ogarnia walentynkowe szaleństwo w amerykańskim stylu. Zdania i uczucia mieszane.

A przecież przyjaźń jest najcenniejszym skarbem od Boga, danym człowiekowi o naturze społecznej.

Gdy wokół tańczą kolorowe serduszka i walentynkowe gadżety – to znak, że świat tęskni za miłością, za przyjaźnią i wiernością, które muszą znaleźć swoje źródło, swoją przyczynę i ostateczny sens w Tym, który sam jest MIŁOŚCIĄ, bo bez Niego są puste i nic nie warte: jak balon, jak popiół, jak dym przez wiatr rozwiany.

Umacniając naszą przyjaźń z Bogiem, życzymy sobie nie tylko na ten jeden dzień, lecz na każdy dzień życia tej przyjaźni, która się nie afizjuje, nie ogłasza przed całym światem, lecz jest cicha, wierna i stała, a łącząc serca unosi je ku niebu, skąd Bóg wciąż pragnie nam udzielać tego daru. Życzymy sobie takiej przyjaźni, w której możemy powiedzieć:

JESTEŚ MOIM PRZYJACIELEM,
bo Tobie mogę powiedzieć wszystko,
bo nie akceptujesz moich wad,
lecz i nie zrażasz się nimi,
bo mogę na Ciebie liczyć
i wiem, że zawsze mi pomożesz;
bo zawsze jest dla mnie miejsce
Twoim sercu i w Twojej modlitwie.



JESTEM TWOIM PRZYJACIELEM,
bo słucham Cię z uwagą
i zawsze możesz mi zaufać,
bo Twoje wady są przedmiotem mojej
troski,
a nie zniechęcenia,
bo dla Ciebie zawsze jest miejsce
w moim sercu i w mojej modlitwie,
dlatego zawsze możesz liczyć na moją
pomoc.

Danuta Lenik

Przypisy

[1] Przed wstąpieniem do seminarium Władysław Bukowiński w 1926 r. ukończył studia prawnicze i Wydział Nauk Politycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

[2] W. Bukowiński, „Wybór wspomnień i informacji dla moich przyjaciół”, Kraków 2007, s. 18-19.

[3] Tamże, s. 19.

[4] Por. D. Lenik, „Ze Wschodu na Zachód”, Bielsko-Biała 2007, s. 62.

[5] Przyjaźń tych trzech kapłanów opisana jest w książce Ks. J. Nowaka, pt. „Moi najlepsi przyjaciele” (Kraków 2009).

[6] Więcej informacji o Stowarzyszeniu: www.ocalenie.org ; tel. o 502 822 977; Danuta Lenik (Sekretarz Stowarzyszenia) ul. Lenartowicza 29/22, 43-300 Bielsko-Biała, Polska.



Концерт
посвященный рабу Божьему отцу
**ВЛАДИСЛАВУ
БУКОВИНСКОМУ**

9 ноября 15:00

режиссер-дирижер:
о. Руслан Галамбайло
Аристана Ма
Айтман Галамбайло
исполнители-сопрано/альто:
- Массимо Салони - сопрано
- Алесандра Лавина - альтерно
Дарин Иванов - скрипка

Вход свободный

КАРАГАНДА, Шахтерю 32

Z życia Kościoła - З життя Церкви

TOTUS DLA „WOŁANIA Z WOŁYNIA”

W wigilię Dnia Papieskiego – w sobotę, 11 października 2014 r. – podczas uroczystej gali na Zamku Królewskim w Warszawie, wręczone zostały nagrody TOTUS. Prestiżowe „katolickie noble” przyznawane są przez Fundację „Dzieło Nowego Tysiąclecia” dla uhonorowania osób i instytucji, których działalność w sposób wybitny przyczynia się do promowania godności człowieka w duchu nauczania Jana Pawła II. Galę Nagród Totus 2014 poprowadziła Grażyna Torbicka a wystąpili na niej m.in.: Stan Borys oraz finaliści konkursu „The Voice of Poland”: Mateusz Ziółko i Monika Urlik. Tuż po wydarzeniu wręczone zostały nagrody dla laureatów konkursu im. Biskupa Jana Chrapka.

Wśród tegorocznych nominowanych w kategorii „TOTUS medialny dla upamiętnienia Bp. Jana Chrapka oraz jego roli w ukazywaniu osoby i nauczania Jana Pawła II w mediach” znalazła się także Redakcja dwumiesięcznika „Wołanie z Wołynia”.

W komunikacie o przyznaniu tegorocznego Totusa czytamy m.in.: „*Wołanie z Wołynia*» to pismo religijno-społeczne. Jego treść skupia się wokół historii i obecnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, zwłaszcza na Wołyniu. Zawiera także informacje o aktualnych relacjach międzywyznaniowych i kontaktach sprzyjających ekumenizmowi. Wytrwale buduje mosty pojednania między Polakami i Ukraincami”.

Lucja Zalewska



Gala rozdania nagród na Zamku Królewskim w Warszawie

Fot. Mariusz Majewski

Notatkę opracowano na podstawie:
„Nominowani Totus 2014” // <http://www.dzieło.pl/pl/strona/263/nominowani-totus-2014>
„Ks. Kowalczyk, TOTUS, nagrody za heroizm” // <http://stooq.pl/n/?f=920216&c=0&p=4+18+22>
[depesza Informacyjnej Agencji Radiowej (IAR) z 11 października 2014 r.]
„XIV Dzień Papieski pod hasłem «Jan Paweł II – świętymi bądźcie»” // <http://www.ungern.fora.pl/wiara-ojcow-naszych,4/w-calym-kraju-radosc-wiernisie-gromadza,3836-255.html>



Pamięć - Пам'ять

PRYPEĆ 2014



Realizując założenia planu działania na 2014 rok Stowarzyszenie Kresy – Pamięć i Przyszłość z siedzibą w Chełmie 31 maja 2014 r. zorganizowało centralne obchody 70. rocznicy przebiecia się przez linię frontu oddziałów 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Uroczystość pod patronatem Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Wołyń miała miejsce w miejscu bezpośrednich wydarzeń nad rzeką Prypeć w pobliżu wsi Okaczewo na Polesiu Wołyńskim (Ukraina). Uroczystości poprzedziło odwiedzenie i modlitwa na mogile zamordowanej przez UPA społeczności polskiej w miejscowości Szczodrogoszcz.

W uroczystości udział wzięli weterani wołyńskiej dywizji, Prezes Chełmskiego Środowiska AK-WiN Pan Jan Paszkiewicz, Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Pożoga” działająca przy Stowarzyszeniu Kresy-Pamięć i Przyszłość w Chełmie, mieszkańcy w tym młodzież szkolna miasta Chełm, przybyli goście z Polski, przedstawiciele Towarzystwa Kultury Polskiej z Kowla oraz miejscowa ukraińska społeczność.

Złożeniem meldunku najstarszemu stopniem weteranowi Panu płk. Zygmun-



Msza św. nad Prypecią

Fot. Archiwum

towi Maguzie pseud. „Waleczny” – Kawalerowi Krzyża Virtuti Militari oraz odśpiewaniem Hymnu Narodowego rozpoczęto uroczystości. Po części oficjalnej odprowadzona została Msza Święta za poległych żołnierzy wołyńskiej dywizji. Mszę świętą koncelebrował Wikariusz Generalny Diecezji Łuckiej ks. Kanonik Jan Buras w asyście ks. Kanonika Grzegorza Szymańskiego i Ks. Kanonika Antoniego Świerkowskiego z Chełma. Po uroczystej Mszy Świętej, swoimi wspomnieniami sprzed 70 lat podzielnili się żołnierze – uczestnicy tragicznych wydarzeń. Złożeniem wieńców i wiązanek pod krzyżem pamięci zakończono uroczystość.

Była to kolejna uroczystość kultywująca pamięć wołyńskiego żołnierza organizowana przez nasze Stowarzyszenie. Całości przewodniczył Prezes naszego Stowarzyszenia – autoryzowany przewodnik po Kresach Krzysztof Krzywiński.

Anna Łuchtaj



Wierzyć w Chrystusa - Вирити в Христа

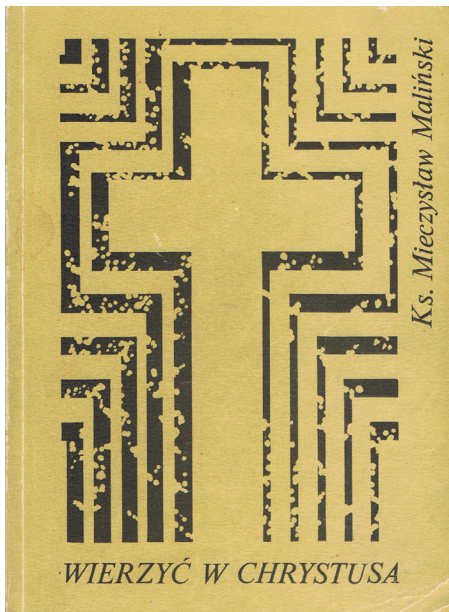
CIERPLIWOŚĆ

O uśmiechniętych męczennikach

Książka Van der Meerscha „Mała święta Teresa” zrobiła swojego czasu szum najpierw we Francji, a z kolei, po przetłumaczeniu jej, również i w Polsce. Pisarz ten nie mógł przejść obok „Dziejów duszy” napisanych przez Św. Teresę od Dzieciątka Jezus. Zaniepokoiły go. Począł szperać i doszedł do nieoczekiwanego odkrycia: że z „Dziejów duszy” usunięto te partie, które „nie nadawały się” do opublikowania, i dopisano nowe. Na szczęście można było zrekonstruować oryginał.

Van der Meersch na podstawie badań odkrywa przed nami powoli grozę życia św. Teresy. Podobnie jak spod jej zdjęć, wyretuszowanych na słodko i gładko, ukazała się twarz surowa, znużona, cierpiąca, tak w jego książce ukazuje się nam klasztor potwornie zimny, w którym króluje dziwaczka przełożona, otoczona gronem zaufanych zakonnice. Widzimy ich nieprzyjazny stosunek do sióstr Martin, rozgrywki przy wyborach, samotność Teresy, jej odżywianie się odpadkami kuchennymi, straszne metody leczenia gruźlicy. Kończąc książkę byłem wstrząśnięty. Ta uśmiechnięta święta była naprawdę męczennicą.

Ale przy całej prawdzie przytaczanych przez Van der Meerscha faktów – szczęście Teresy pozostaje niewątpliwe. W jednym miejscu „Dziejów duszy” pisze ona o tym, jak razu pewnego, gdy prowadziła okropnie zimnym korytarzem starszuskę-zakonnice, sklerotyczną, stetryczalą, złośliwą, stanął przed jej oczami – jako druga możliwość jej życia – obraz sali bala-



wej, gdzie wreszcie ciepło i wreszcie jasno, wreszcie wielu miłych ludzi, gdzie ona, Teresa, pięknie ubrana i bawiąca się. Bez wahania wybrała pozostanie w klasztorze.

Ujrzawszy na ulicy ładną zakonnice albo przystojnego księdza mówi się z westchnieniem żalu: „*Taaka dziewczy-na i wstąpiła do zakonu, taaki chłopiec i został księdzem*”. W tym stwierdzeniu jest jakiś ton tragiczny. Jakieś rozrywanie szat nad bolesnym wyrzeczeniem się przyjemności świata, podejrzewanie o jakiś wielki smutek. Tymczasem naprawdę jest zupełnie inaczej. Tymczasem w tym wyborze jest coś z tego, o czym Pan Jezus mówił: „*Królestwo niebieskie podob-*



ne jest do skarbu ukrytego w roli. Znalazł go pewien człowiek... Uradowany poszedł, sprzedał wszystko, co miał, i kupił tę rolę” (Mt 13, 44). A więc ciągle wielka radość, wielkie szczęście.

*
* *

Tylko żebyś nie myślał, że chcę cię namawiać na wstąpienie do seminarium duchownego albo żebyś została zakonnicą. Mnie tu chodzi o wszystkich tych, którzy bezinteresownie pracują, poświęcają się, żyją dla innych, służą nie dlatego, że im to się „opłaca”, ale dlatego, że tak trzeba: dla Dobra samego. Taka postawa jest skutkiem nadprzyrodzonej cnoty nadziei. W jej świetle człowiek zaczyna oceniać rzeczywistość tak, jak ją ocenia Bóg. Dokonuje się przewartościowanie ludzkiego systemu ocen na system Boży.

Rysem charakterystycznym nadziei jest radość. Jak najbardziej słuszne jest powiedzenie: „Święty smutny, to smutny święty” to znaczy – żaden święty. Smutek świadczy o braku nadziei: albo człowiek nie znalazł największej wartości w życiu, czyli ostatecznego celu, albo już go utracił.

Dopiero patrząc przez ten pryzmat nadziei – radości, możemy zrozumieć męczenników i świętych, kanonizowanych i nie; misjonarzy zarażonych trędem, Św. Teresę i św. Maksymiliana Kolbego. Ale również naukowców poświęcających życie swoje poszukiwaniom Prawdy; inżynierów, techników, rzemieślników, robotników wykonujących solidnie swoją Robotę; lekarzy, pielęgniarki, salowe, które służą Potrzebującym; matki, ojców, nauczycielki, wychowawców oddanych Wychowaniu – wszystkich ludzi, którzy ujęli w swojej pracy zawodowej Sprawiedliwość, Prawo, Obowiązek, Sens i jemu służą.

Inaczej mówiąc: nadzieja jest to przede wszystkim chęć zbawienia – to pragnienie życia z Bogiem już tu na ziemi i kiedyś po śmierci.

(cdn.)

ks. Mieczysław Maliński



Prawdziwa cierpliwość polega na pogodnym znoszeniu zła, które czynią nam inni, bez okazywania im żadnego odruchu pogardy.

św. Albert Wielki



Gdzie jest cierpliwość i pokora
tam nie ma ani gniewu,
ani zamętu.

Św. Franciszek z Asyżu.

Wspmnienia - Спогади

MOJA BABCIA MARIA TITARENKO

(cz. 1/2)

Próbuję przywołać postać Babci Marii, opowiedzieć o niej i przedstawić jej dzieje, by w ten sposób podziękować jej za wszystko, co zrobiła dla nas – w szczególności dla mojej mamy, która nie była jej córką.

Nie jest to wcale łatwe – Babcia była osobą jakby nieco schowaną za sprawami, jakie przetaczały się przez naszą rodzinę, niejako „ukryta” przede mną, była „drugą”, mniej znaną Babcią. Przeglądam nieliczne listy i dokumenty urzędowe; najstarsze sięgają czasów zakończenia I wojny światowej. Kwity starannie zebrane w kopertę poświadczające spłatę kredytu za dom w Równem, spłacane u Abrahama Berggrüna w Kosowie Huculskim, dowody wpłaty rat podatkowych, wzory haftu, listy, nowenny, niekompletne mszalniki, śpiewniki i książeczki do nabożeństwa z 1940, 1947, 1948 roku, a wśród nich przepiękny „Kwiat Eucharystyczny” z 1936 zawierający teksty modlitw uwielbienia przed Najświętszym Sakramentem. Wśród dokumentów podziw budzi ręcznie wykonany projekt „dobudowy ganku murowanego, postawienia nowego komina oraz budowy budynku gospodarczego drewnianego” w zakupionym w 1936 domu przy ulicy Spokojnej 6 w Równem. Zachował się też „Nowy Pana Naszego Jezusa Chrystusa Testament” w tłumaczeniu Wujka w lipskim wydaniu z 1914 roku, opatrzony zgodą carskiej warszawskiej cenzury. Nie wiem, czy zgoda ta była wystarczająca, by móc zakupić czy w innej formie rozpowszechnić tę Księgę na Ziemiach Zabrzanych, między innymi w ziemi Zasławskiej na Wołyniu w dobrach



Babcia Maria pod drzewem

Fot. Archiwum

Sanguszków, bo tam właśnie leżał dom rodzinny Babci. Jeśli tak było, to można by rozważać, że niezwykłą drogą przebył ów egzemplarz – ale o tym później.

Najbardziej poruszające jednak są zdjęcia zebrane w dwóch albumach. Najstarsze chyba z nich zrobione w atelier fotograficznym nosi datę 3 czerwca 1918 i przedstawia dwóch młodych żołnierzy w mundurach Kozaków opartych o wielką armatę. Na odwrocie zamasztystry napis: „Podarek na pamiątkę P. Bronisławowi od Jana



**Podarek od Jana Kucharskiego
3 czerwca 1918 r.**

Kucharskiego”. Ostatnie przedstawia Babcie u schyłku życia pochyloną nad robótką ręczną. Może to sporych rozmiarów orzeł ze złotą koroną, którego niedokończony haftowany wizerunek otrzymałam od niej w prezencie. Przyglądam się wielu twarzom, próbuję dopasować zamazane podpisy do posiadanych dokumentów i zestawie z zapamiętanymi opowieściami Babcie. Nie jest to zbyt duży materiał i może nie do końca dający pewność bezbłędnego rozszyfrowania, ale jednak na tyle pokazany, że pozwala, jak sądzę, na pozostawienie śladu w pamięci rodziny.

ŚLUB

Zachował się skrócony odpis aktu małżeństwa mojej Babcie Marii Kucharskiej

córki Karola i Franciszki z domu Łaszczy urodzonej 15 sierpnia 1906 w Tarnawce (jednym z czterech folwarków Białogródki nieopodal Zasławia) oraz piekarza Mikołaja Titarenko syna Andrzeja i Juliany z domu Maciszyn urodzonego 11 marca 1905 roku w Ostrogu. Ślub odbył się równo dziesięć lat przed wybuchem wojny, więc 1 września 1929 w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu, ale o miejscu nie informuje oczywiście dokument wystawiony w 1960 roku przez USC w Żarach. Babcia wspominała z wdzięcznością, że rodzina męża narodowości mieszanej, ukraińsko-polskiej, ale spolszczona i katolicka dobrze przyjęła przyszłą synową i nigdy niczego nie wypominała. Zdaje się, że Babcia miała tu na myśli swoje ubóstwo – więc to, że nie wniosła wiana. Przybyła bowiem w granice przedwojennej Polski zza kordonu, z terenu odciętego w 1921 roku od ziem Rzeczypospolitej granicą Traktatu Ryskiego, pozostawiając rodzinę i dom po drugiej stronie Horynia, czyli po stronie sowieckiej. Przyszła na piechotę, pokonując w bród graniczną rzekę. Zanim poznała swojego przyszłego męża, mieszkała u brata – osadnika wojskowego pod Krzemieńcem – a to był drugi powód, dla którego nie zdołała zgromadzić żadnego majątku. Sprawy ewentualnych różnic narodowościowych – w tym wypadku raczej można chyba mówić o niuansach – nie odgrywały bowiem takiej roli, jaką obecnie im się przypisuje – w każdym razie nie w otoczeniu Maryli, jak później niekiedy zwracał się do żony Kola. Maniuś, Maryś, Manieczka... on zawsze – Kola. Raczej wspomnienia Babcie ewokują klimat podobny temu, jaki można wyczytać u Jerzego Stempowskiego w „*Dolinie Dniestru*”. I tu i tam narodowość jest sprawą dalszorzędną wobec obywatelstwa i dziedzictwa Rzeczypospolitej wielu narodów. Nie jest też wartością stałą, nie

zawsze wiąże się z językiem. Jest raczej sprawą indywidualnych wyborów, a jeszcze bardziej może nawet zwykłego losu. W powojennych listach Babcia do rodziny swego brata Mariana z Hulowiec zwraca się po ukraińsku, a z rodziną Titarenków – bywa, że mówi po polsku. Zachował się ciekawy dokument wydany przez proboszcza ostrogskiego księdza R. Kranza stwierdzający, że Mikołaj Titarenko ochrzczony 11 marca 1905 roku „*jest Polakiem religji Rz-katolickiej*”. Świadcstwo zostało wystawione 1 VIII w jakże ciężkim dla Polaków roku 1943. Do czego potrzebne mogło być Mikołajowi właśnie w roku największego nasilenia ukraińskich rzezi? Czy to sprawa zbliżającego się frontu (co nastąpiło w październiku) – i perspektywa wstąpienia do armii Berlinga, a uniknięcia tym samym armii sowieckiej? Nie wiem. Ale nie uprzędajmy faktów.

W każdym razie zdjęcie zrobione w atelier fotografa A. Reznika w Ostrogu przedstawia młode małżeństwo. Ona w ciemnym żakiecie z białą kryzą żabotu jakby w romantycznym nieco nieładzie, on w obowiąującym garniturze. Być może pamiątkowa fotografia została zrobiona w rocznicę ślubu, a może świeżo po nim. Nie do końca, co prawda, rozpoznałem rysy twarzy. Zwłaszcza Babcia wydaje mi się nieco inna, przede wszystkim znacznie młodszą, niż na pozostałych zdjęciach – i tajemniczo wręcz piękna – co zresztą nie może dziwić zważywszy na okoliczności ślubne i stylistyczną pracę fotografa. Przekazy rodzinne i zachowane dokumenty świadczą, że byli szczęśliwym, kochającym się małżeństwem.

Dodam może, że z granicznego Ostroga młodzi małżonkowie przenoszą się niebawem do miasta powiatowego Równe (są już w nim na pewno w 1934 roku), gdzie zamieszkują przy pryncypialnej ulicy 3 Maja 268. Oboje pracując, starają się zaoszczędzić

na kupno domu, co udaje się zrealizować w 1936 roku. Warto może wspomnieć, że na tej samej ulicy w 1933 roku mieszka u dziadków prowadzących aptekę w piętrowym murowanym domu z balkonem piękna szesnastoletnia wówczas Zuzanna Ginczanka, żydowska poetka związana w późniejszych latach ze „Skamandrem”. Zadebiutowała właśnie w roku 1934 w Równem. Otwarta, przyjazna atmosfera miasta będzie kojarzyła się jej z poczuciem bezpieczeństwa, skoro – mimo prób wyperswadowania jej tego przez przyjaciół – zdecyduje się tu spędzić wakacje i początek wojny. W tymże roku 1933 zaczął bywać w jej domu, oczarowany poezją i urodą „Sulamity” młody komunizujący jeszcze wówczas poeta Józef Łobodowski, ówczesnie rekrut na Kursie Podchorążych Rezerwy przy 44 Pułku Strzelców Konnych, ten sam, który trzy lata później jakże mocno i wspaniale podejmie wątek przyjaźni polsko-ukraińskiej. Pozostanie mu wierny do końca życia. Czy wszyscy oni mijali się na ulicy 3 Maja? Prawdopodobnie Zuzanne zdarzało się czasem kupować bułeczki upieczone przez Mikołaja.

Babcia Maria Titarenko. Jak ją widzę po czterestu latach od śmierci, po jeszcze dłuższym czasie, jaki upłynął od jej dojrzałych lat i mojego dzieciństwa? Nosiłam się kiedyś z myślą, żeby zapisać babcine opowieści, snute przepiękną polszczyzną – taką, jaką słyszałam tylko z ust mojego profesora na toruńskiej polonistyce, Artura Hutnikiewicza, nawiasem mówiąc przedwojennego asystenta na lwowskim UJK. Nie zdążyłam.

SĄSIEDZKIE WIĘZI I LISTY

Mały szary domek ze spiczastym dachem i schodkami z ceglana poręczą, przed którym rozrosły się z czasem dwa potężne orzechy. Od węgła w stronę kuchennego okna dom obrastała winorośl. Żary koło



„Kochanemu kuzynowstwu” – 20 października 1920 roku

Żagania w ówczesnym woj. zielonogórskim w zachodniej Polsce. Na sąsiednich ulicach podobne poniemieckie domki sąsiadek z rówieńskiej jeszcze parafii – siostr Jakowicz, pani Sapikowskiej, Oleksiewiczowej, Czerneckiej. Panie wpadały na herbatkę, a Babcia pomagała w ich dolegliwościach ziołami zbieranymi w swoim ogrodzie lub na bujnych podmiejskich łąkach. Będzie z nimi utrzymywała listowny kontakt prawie do końca życia, już po przeprowadzce do Torunia. Listy przyjaciółek zaczynały się od pobożnych zwrotów w rodzaju „*Łaska Wam i pokój od Boga Ojca i Pana naszego...*”, „*Witam Ciebie słowem Bożym...*” i zawierały pytania o zdrowie, pogarszające się z latami, dokładne informacje o obsiewanych wiosną grządkach, kłopotach życia codziennego, związanych z skromnym budżetem, i samotnością. Zachowały się też dwa listy pisane do Mysłowic i Słubic do rodziny: Broni – chyba żony brata, więc Kucharskiej – i Pawła Musialika. Babcia wspominała w nich o

swoim stanie nerwów, wzrastającym z latami braku cierpliwości, który, jak zauważała, dokuczał nie tylko bliskim, ale i jej samej. Trudno by znaleźć we wszystkich tych listach jakkolwiek ślad wrażeń z życia społecznego czy wspomnień z przeszłości, czasem jedynie sygnał emocji po jakiś kobiecych zatargach „*o pierwszeństwo*”. Dla mnie wyrazistą cechą jest odniesienie opisywanych drobnych spraw do wiary, wyrażane co prawda w zwrotach będących ustaloną konwencją, ale których przecież w czasach panującego komunizmu mogłoby nie być. Jeszcze większe wrażenie nieobecności „*tła*” i pamięci można odnieść z dwóch – trzech zachowanych listów powojennych z lat siedemdziesiątych, jakie Babcia wymieniała po ukraińsku z rodziną w Hulowcach (Huliwcy) w Chmielnickiej obłastii na Wołyniu i z okolicznościowych kartek otrzymywanych od rodziny męża pozostałej w Ostrogu. Listów jednak musiało być więcej, świadczą o nich dość liczne powojenne fotografie w albu-

mie rodzinnym. Czasem zdjęcia opatrywano lakonicznymi podpisami. Taki lapidarny opis widnieje na przykład pod zdjęciem przedstawiającym scenę pogrzebu. Żałobnie pochylone kobiety w grubych chustach i mężczyźni nad trumną ozdobioną girlandami ze sztucznych kwiatów. Świadcstwo zesłania jednego z braci do Kazachstanu zapewne w 1936 roku. Być może zdjęcie otrzymała Babcia od krewnej Oryszewskiej z Pawłodaru w Kazachstanie, może chciała je wysłać krewnym na Ukrainę, bo pełniła po wojnie rolę rodzinnej „skrzynki kontaktowej”. Podpis brzmi „*Pomier Władysława w gorodi Pawłodari. 1978 r.*”.

Nadajmy jednak opowieści jakiś porządek, choć nie będzie to porządek ściśle chronologiczny.

MOJA MAMA

Dziadek Mikołaj najprawdopodobniej jesienią 1943 roku, wyruszył z Równego na front wraz z armią Berlinga. Być może towarzyszył mu brat Iwan – mój tato wspomina, że w 1972 roku na okolicznościowym pomniczku w Ostrogu znalazł jego imię wymienione pośród innych żołnierzy upamiętnionych z racji walki z Niemcami. Zanim jednak to nastąpiło, zdarzyło się coś niesłychanego.

W samą niedzielę wielkanocną przybiegła po kościele do Mani sąsiadka z wiadomością, „*że są dzieci do wzięcia*”. Dzieci te (lub przynajmniej jedno z nich) przywiózł kierowca niemieckiej ciężarówki. Pamiętam, że była to niedziela pierwszych mordów na Polakach, którzy stali się kolejnymi ofiarami czystek – po eksterminacji przez Niemców przy pomocy Ukraińców ludności żydowskiej. Do miasta przybyli uciekinierzy z okolicznych wsi i osad, między nimi osierocone dzieci. Były to jednak, jak się po latach okazało, nie tylko polskie dzieci, ale i dzieci żydowskie. Ich rodzice usiłowali je z kolei ratować przed ekster-

minacją w getcie, ukrywając „*po stronie polskiej*”. Kiedy Mania przybyła do małej salki nieopodal kościoła, uwagę jej przyciągnęła najbardziej licho pośród kilkorga dzieci wyglądająca trzyletnia dziewczynka, stojąca w rogu, pokryta wrzodami, wyciągająca do niej rączki i wołająca „*Mamciu, zabierz mnie do domciu!*”) Wspominając po latach jej oplakany wygląd, mówiła mi pod koniec życia „*Marysiu, jakże ja miałam jej nie zabrać?*”. Małą Renię ochrzcił ksiądz dziekan Ludwik Syrewicz proboszcz kościoła pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny i św. Antoniego Padewskiego, aresztowany później przez Niemców. Tak właśnie moja Mama stała się córeczką Marii i Mikołaja, małą mieszkanką domku przy ulicy Spokojnej 6 w Równem, nieopodal prawosławnego cmentarza i ulicy Wypiańskiego. Ulica dla małżonków nie była jednak odtąd taka spokojna, skoro ciążyła jednak niepewność, co do pochodzenia dziecka. Nie było właściwie wiadomo, skąd jest ta mała dziewczynka o niebieskich oczach i płowych włoskach. I czy przypadkiem nie spotkałaby ich ze strony Niemców kara śmierci. Dziecko używało słów charakterystycznych dla lwowskiego bałaku. Kontekstem wówczas bardzo bliskim były rzezie ukraińskich nacjonalistów w okolicznych wioskach i osadach należących do rówieńskiej parafii, a ukraińskie nazwisko tylko pogarszało sytuację.

Wątek pochodzenia mojej mamy w sposób niezwykły rozwiązał się po czterdziestu pięciu latach, kiedy to, po zestawieniu znanych faktów doszło do spotkania w Izraelu rodziny Raichmanów i mojej Mamy. Badania genetyczne potwierdziły, że oto stoi przed swoimi przyrodnimi braćmi Ester Goldenstein. Ich mama Lena nie żyła od wielu lat, ale jeden z braci, urodzony już w Naharyi w Izraelu mówił po polsku, choć zapomniał już wielu słów – lwowskim bałakiem. Ta moja Babcia, jak

się okazało urodzona we Lwowie, mieszkając w Izraelu nigdy nie nauczyła się hebrajskiego, a swoim synom kazała czytać „*Pana Tadeusza*” i „*Quo vadis*”.

RZECIE

Babcia Maria nie opowiadała nigdy o tych okropnościach. Wspominała tylko, broniąc się ze łzami w oczach w późniejszych latach przed zarzutem antysemityzmu, że kiedy w 1941 weszli Niemcy, pomagała swojej żydowskiej sąsiadce w chorobie, kiedy ta leżała w połogowej gorączce. Nie zwracała uwagi na narodowość. Znała się na ziołach i całe życie czyniła z tego dobry użytek.

W 1997 roku Towarzystwo Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej w Lublinie wydało dwa tomy wspomnień wraz z dokumentacją fotograficzną pomordowanych na Wołyniu i zniszczonych kościołów. Pożyczylimy je więc z mężem Babci, wręcz z uczuciem triumfu, ciesząc się przede wszystkim z faktu wydania książki i spodziewanego wzruszenia Wołynianki. Pamiętam, że reakcja w pierwszym momencie nas zaskoczyła. Babcia, bardzo poruszona, oddała je nam, nie czytając. „*Nie mogę na to patrzeć, nie mogę po prostu. Ja to wszystko przeżyłam*”.

Dopiero teraz, przeglądając ponownie jeden z tych tomów – „*Wołyński testament*” opowiadający o tragicznym losie mieszkańców wsi Ostrówki i Woli Ostrowieckiej znalazłam wśród autorów zdjęć nazwisko Bronisławy Kucharskiej w żałobnej już obwódce. Nie ma jednak tego nazwiska wśród wymienionych mieszkańców wsi. Być może więc – o ile chodzi tu o ową w listach do Mysłowic wymienioną krewną-bratową? – mieszkał tam ktoś z jej rodziny.

DROGA DO ŻAR

Rodzina postanowiła, podobnie jak większość mieszkańców Wołynia, wyjechać na Ziemię Zachodnie. Realia sowiec-

kie były im aż nazbyt dobrze znane z czasów pierwszej okupacji, a do tego Babcia miała w pamięci los, który spotkał rodzinę pozostawioną za kordonem granicznym, więc na Ukrainie sowieckiej. Nie było na co czekać.

Warto na moment zatrzymać opowieść i wspomnieć, że postawa polskiej ludności Wołynia-wobec akcji przesiedleńczej różniła się dramatycznie od postawy mieszkańców Galicji Wschodniej. Tam Polacy bojkotowali ustawę PKWN i Rady Komisarzy Ludowych Ukrainy z 9 września 1944. W Łucku zaś główny pełnomocnik do spraw przesiedlenia relacjonował, że ludność wiejska Wołynia „*nekana napadami band wprost żebrze o wyjazd (...). Nastawienie: Rzucić wszystko i za wszelką cenę wyjechać. Na stacjach gromadzą się tłumy i oczekują tygodniami. Żadne tłumaczenie tu nie pomoże*”. (cytat zaczerpnęłam z artykułu Grzegorza Gryciuka „*Pożegnanie z ojczyzną i ojcowizną*” zamieszczonym w „*Księdze Kresów Wschodnich*”, nr V – „*Wielki Exodus. Przesiedlenia Polaków z Kresów Wschodnich(1944-1946)*”). Tak ogromna wola wyjazdu spowodowana była skalą rzezi ukraińskich na Wołyniu, jakich doświadczyli przede wszystkim mieszkańcy wsi i falami sowieckiej represji w miastach. Trzeba przy tym pamiętać, że warunki koczowania na rampach kolejowych i jazdy w zatłoczonych, czasem odkrytych wagonach były straszliwe, a władze sowieckie ograniczały zabierany dobytek, pozostawiając przesiedleńcom możliwość wzięcia tylko najbardziej niezbędnych rzeczy. Pamiętam informację Babci o tyfusie, jaki obie uciekinierki przeszły w czasie tej wędrówki, choć, jak zwykle, pozostała ona i tu bardzo zwięzła w swoich wspomnieniach.

Z Wołynia ratowało się ucieczką na Zachód wtedy 140 700 Polaków, z czego z samego powiatu rówieńskiego – wyjechało 21 tysięcy osób.

KOLA

Po drodze Mania z Renią zatrzymały się tymczasowo w Sobieskiej Woli, wsi położonej w powiecie krasnostawskim w woj. lubelskim. Dziadek Mikołaj był już wtedy na froncie, z którego słał do żony i córeczki krótkie kartki: *„Kochana Marylo i córunia. Donoszę Wam, że święta spędziłem bardzo dobrze, czego i Wam życzę od Boga. Droga Maryś, ja jestem żyw i zdrow, czego i tobie życzę i córuni”* (ortografię i interpunkcję dostosowałam do dzisiejszych wymagań). Na Wielkanoc do mojej Mamy i Babci: *„Kochana Córuniu. W dniu Świąt Wielkanocnych zasyła Ci serdeczne życzenie Twój Tatus. Życzę Ci dużo szczęścia i zdrowia w dniu tak wielkiego Święta, pa, Kola”*. Zachował się też mały obrazek z wizerunkiem świętej. *„Kochanej córuni. Zsyłam Ci dwa obrazki na pamiątkę, świętą Teresę od Tatusia. Kistryń, dnia 14 VI 1945 roku”*. Jedna z kartek – z 8 maja 1945 – roku zawiera świadectwo szczęśliwego powrotu brata Babci – Wiktora z Syberii: *„Kochana Maryś, napisz mi, co było i jaki wrażenie wywarło na Tobie, jak Ty tak po długich latach zobaczyła Wiktora, bo ja wiem, że on do Ciebie pojechał, i napisz mi, jak Ty z nim uradziła, i czy on nas nie szukał w Równem. Pa, Kola”*.

Trzeba mi tu zebrać posiadane wiadomości o tym bracie. Wiktor został zesłany jeszcze w latach trzydziestych z rodzinnej Białogródki, czyli terenu zagarniętego przez Rosję Sowiecką. Babcia potem będzie mi wielokrotnie wspominała jego opisy surowej, niezwykłej zresztą przyrody, wśród której brat razem z innymi zesłańcami będzie musiał toczyć walkę o przetrwanie. Polowanie na sumę, w głębokim jarze rzeki. Walka z tą wielką rybą, która o mały włos skończyłaby się dla niego przegraną, gdyby nie pomoc kolegów. Po tej walce zostały blizny na nogach. Ogniska palone, by odgonić wilki. Z opowieści wnioskuję, że,

przynajmniej w końcowej fazie było to raczej „posielenie”, zesłanie, a nie ścisły łagier. Ciekawe, że Babcia i tutaj, przekazując mi wiadomości o Wiktorze, skupiła się na opowieściach o pięknie dzikiej przyrody Syberii. Nie myślę, by to była tylko naturalna chęć osłonięcia wnuczki przed zbyt ciężkimi przeżyciami. Sądzę, że to głębsza cecha jej wrażliwości i jakby naturalne zakorzenienie w takim kształcie losu. Ojciec Babci, jak wspomniałam, nie miał takiego szczęścia. Nie pamiętam, by Babcia znała dokładną datę jego łagierniczej śmierci przy budowie Białomorskiego Kanału. Znalazłam też potwierdzenie ojców Werbistów z Pieniężna z 1980 roku przyjęcia ofiary na mszę św. zamówioną przez Babcie z okazji 80. tej rocznicy urodzin. Wiktor urodził się więc w 1900 roku.

Już po zebraniu tych wiadomości trafiłam na zaadresowaną kopertę, która odpowiedziała mi losy tego brata, szczególnie bliskiego, mam wrażenie, sercu Babci. Koperta do Wiktora Kucharskiego zaadresowana jest do znanych nam już Hulowiec. Wiktor nie zdołał więc wyjechać z Rosji Sowieckiej i podobnie jak Marian, osiadł w Hulowcach. Nie dysponował przecież przedwojennym polskim paszportem. Babcia słuchała jego opowieści o Syberii tuż przed opuszczeniem Wołynia albo w trakcie swoich co najmniej dwóch podróży na Ukrainę, odbytych w latach siedemdziesiątych, a ojcowie Werbiści, na jej prośbę, wysłali mu tam medalik misyjny i potwierdzenie intencji mszalnej.

Oprócz prędko zadanych na pocztówce pytań o Wiktora, są jeszcze krótkie informacje o niejkiej Eli, która też jest w drodze z Wołynia – do Mysłowic. Z nią również Kola będzie się starał zachować kontakt. Może warto w tym miejscu podkreślić ciepły i serdeczny stosunek Mikołaja do żony i jej rodziny. Zachowała się pocztówka wysłana 16 września 1937 roku z Za-

leszczyk, najpiękniejszego chyba kurortu na Podolu (a na pewno najcieplejszego); w 1939 władze miejskie zamierzały na nadniestrzańskich bulwarach zasadzić palmy, a morele, arbuzy, melony i dalej wspomniane winogrona sprzedawano w sklepach stolicy. Kola pisze: „Kochana Maryś, spieszę Tobie donieść, iż zajechałem szczęśliwie dziś rano o godzinie 6 i od razu trafiłem do Broni do domu. Bardzo mi się podoba ta miejscowość i te Gucule, bo już chodzą w kożuchach i w białych długich koszulach. Maniuś, za parę dni ja Ci przysię winogrona, a Ty tam co zechcesz, to zrobisz. (...) Zасылаją Ci serdeczne ukłony Bronia, Marian, Staś i Babcia”. Bronia, zdaje się, stale mieszkała w Zaleszczykach. O zabawie i radości ze spotkania rodziny mówi jeszcze dopisek Bronki. Kim była Bronka – nie wiem, przypuszczam, że bratową Babci, tak samo i nie mogę odgadnąć, czy Marian – to ten sam brat Babci, który po wojnie mieszkał w Hulowcach w obwodzie Chmielnickim i z którego rodziną będzie siostra wytrwale utrzymywała korespondencję jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jednak trudno mi dopasować ponad miarę poważną, surową twarz brata Mariana z Hulowiec w kałozach i grubej nędznej kufajce do tonu tej radości zaleszczyckiej. Nie wiem.

Na froncie Dziadek wyróżnił się w boju, odznaczony bowiem został medalem za udział w walkach o Berlin. Z 7 listopada 1945 roku pochodzi zaś dokument z miasta Żórawia mianujący Mikołaja kierownikiem piekarni. Nie jest to jednak ostateczna przystań. W 1948 roku, po przyjeździe do Żar, udokumentowawszy fakt pozostawienia w Równem domu, a także powołując się na nabyte uprawnienia osadnika wojskowego wystąpił o przekazanie „w drodze zarachowania” domu przy ul. Ludowej 11. Mimo otrzymanej początkowo odmowy, wkrótce stał jego właścicielem.



Babcia z robótką

Fot. Archiwum

Wrócił tym samym do swojego przedwojennego zawodu piekarza wykonywanego w Ostrogu i w Równem. Zachował się tłoczony na pergaminie dyplom nadania 16 sierpnia 1938 roku Brażowego Krzyża Zasługi „za zasługi na polu pracy zawodowej” podpisany przez Prezesa Rady Ministrów Sławoja Składkowskiego.

Na zdjęciach widzimy przystojnego, z reguły uśmiechniętego mężczyznę. Wśród wielu fotografii wzrok przyciąga zdjęcie zrobione przed pogrzebem. Babcia Maria pochyla się nad trumną z delikatnością, przywodzącą obraz matki pochylonej nad kołyską. Dziadek zmarł w 1966 r., gdy miałam pięć lat. Nigdy go nie poznałam. (cdn.)

Maria Kalas



Kultura - Культура

MADONNY KRESOWE NA POLSKICH ZNACZKACH POCZTOWYCH

W przeddzień święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w 2014 r., Poczta Polska S.A. wprowadziła do obiegu dwa znaczki z nowego cyklu emisyjnego pt. „*Madonny Kresowe*”, prezentującego słynące łaskami obrazy Matki Bożej, ze znanych miejscowości Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej. Nowa emisja została dedykowana wizerunkom Matki Bożej: Drohobyckiej i Kochawińskiej.

Pod koniec II wojny światowej i po jej zakończeniu wielu Polaków z Kresów Wschodnich, m. in. Podola, Wołynia, Polesia czy Wileńszczyzny przesiedlono do Polski Centralnej i na Ziemię Odzyskaną. Kresowiaci, wierni Bogu i Ojczyźnie, w niepewną przyszłość zabierali ze sobą oprócz skromnego dobytku ruchomego, także rzeźby i obrazy Matki Bożej, pochodzące z ich domów, ale także i kościołów do których uczęszczali, obawiając się ich dewastacji przez Sowieców. Przedmioty kultury wraz z ludźmi przebywały różne drogi, jednak wszystkie je łączyło miejsce pochodzenia. Historię dwóch obrazów Matki Bożej przybliży poniżej opisane wydanie znaczków pocztowych. Mamy nadzieję, że w przyszłości ukażą się znaczki z reprodukcjami następnymi wizerunków słynących łaskami.

Celem artykułu oprócz przeglądu wydanych w ostatnich piętnastu latach emisji znaczków Poczty Polskiej S.A. z wizerunkami Matki Bożej pochodzącymi z Kresów, a dzisiaj znajdującymi się w Pol-



sce, jest przypomnienie miast i regionów, w których wciąż żyją Polacy i oddają tam cześć Bogu i Maryi. Nowa seria posiada walory poznawcze i edukacyjne, służy utrwalaniu wiedzy o najnowszej historii Polski i Kresów w świadomości społecznej.

Znaczki emisji z 14 sierpnia 2014 r. „*Madonny Kresowe*”, o wartości 1,75 zł i 4,20 zł zostały zaprojektowane przez artystkę plastyk Agnieszkę Sancewicz. Walory wydrukowano w arkuszach sprzedażnych zawierających po 9 znaczków stosując techniką rotograviurową, na papierze fluorescencyjnym formatu 40,5 x 54 mm, w nakładzie po 200 tys. sztuk [1]. Poczta



wydała również ozdobne koperty pierwszego dnia obiegu, tzw. FDC. W Urzędzie Pocztowym (UP) Warszawa 1 stosowano datownik okolicznościowy ukazujący koronę Matki Bożej Drohobyckiej, natomiast w UP Gliwice 1 – koronę Matki Bożej Kochawińskiej.

POCHODZENIE I HISTORIA MADONY DROHOBYCKIEJ

Drohobycz to obecnie miasto rejonowe na Ukrainie, w obwodzie lwowskim, nad rzeką Tyśmienicą, liczące ponad 75 tysięcy mieszkańców, którego początki sięgają połowy XIII wieku. Miasto od stuleci znane z wydobywania soli było dobrze ufortyfikowane, o czym świadczą zachowane fragmenty wałów obronnych. W 1392 r. król Władysław Jagiełło założył tu parafię rzymskokatolicką i ufundował kościół farny. Jednak dzisiejszy gotycki budynek kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Świętego Krzyża i św. Bartłomieja w znacznej części pochodzi z 1511 roku. Jego wnętrze pokrywa polichromia z końca XVIII wieku wy-

konana przez Andrzeja Sołeckiego. Dawne, bogate wyposażenie kościoła przepadło po II wojnie światowej, kiedy to Sowieci w budynku świątyni utworzyli magazyn. Od 1989 r. kościół w Drohobyczu znów pełni funkcje liturgiczne, a braki w jego wyposażeniu uzupełniono rzeźbami z innych kościołów, w tym krakowscy Ojcowie Bonifratrzy ofiarowali neobarokowe ołtarze [2].

W 1904 r. w Drohobyczu na potrzeby pracowników PKP zbudowano niewielką kaplicę, w której umieszczono kopię obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Po wkroczeniu w 1939 r. Armii Czerwonej kapliczkę ograbiono i zamknięto. Obraz Matki Bożej został sprofanowany, ogłocony z ozdób i przestrelony. Po wojnie, gdy Polacy opuszczali Drohobycz w 1945 r., siostry – Kazimiera i Zofia Cisowskie widząc zbezczeszczoną kaplicę powiedziały: „*Matko Boska, nie zostawimy Cię tutaj – pojedziesz z nami?*”. Owinęły obraz w koc, ukryły go i zabrały ze sobą do Polski. Dziś wizerunek ten stanowi chlubę kościoła Ojców Bonifratrów pw. św. Jana

Bożego w Warszawie oraz jednoczy duchem jej mieszkańców i drohobyrczan [3]. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku Jan Gruszczyński wykonał kopię tegoż obrazu i przekazał w 2000 r. do odnowionej kapliczki kolejowej w Drohobyczu [4].

POCHODZENIE I HISTORIA MADONNY KOCHAWIŃSKIEJ

Matka Boża Kochawińska, zwana również Matką Dobrej Drogi, to obraz nieznanego artysty o wymiarach 83 × 56 cm, namalowany na desce dębowej o grubości 3 cm. Przedstawia on Maryję w półpostaci z Dzieciątkiem na ręku oraz napis w dolnej części na czarnym pasie „*O MATER DEI ELECTA ESTO NOBIS VIA RECTA*”, co tłumaczy się jako „*O Matko przez Boga wybrana, bądź dla nas prostą drogą (do Pana)*”. Matka Boża ubrana jest w czerwoną suknię i w granatowy, gwiaździsty płaszcz z krzyżem na czole – naciągnięty na jej ramiona i głowę; a w lewej dłoni trzyma białą chustkę. Jezus, siedzący na lewym ramieniu matki, ubrany jest w białą, złożoną szatę poniżej pasa okrytą czerwoną tkaniną. W lewej dłoni trzyma złożoną księgę, a prawą unosi w geście błogosławieństwa [5].

Według tradycji Obraz został znaleziony około 1646 r. w lesie na dębie. Oficjalnie czczono go od 1680 r., kiedy to zbudowano dla niego pierwszą kaplicę, a w 1755 r. kościół w Kochawinie. W 1780 r. wyodrębniono osobną parafię pod opieką Ojców Karmelitów z miejscowości Rozdół. W latach 1868-1894 powstał nowy budynek kościoła, do którego po zakończeniu budowy przeniesiono Obraz słynący łaskami. Wizerunek został ukoronowany 15 sierpnia 1912 r. przez abpa lwowskiego Józefa Bilczewskiego, a w 1931 r. zarząd parafii przeszedł w ręce Towarzystwa Jezusowego. W wyniku działań wojennych II wojny światowej Obraz wy-

wieziono z Ukrainy do Starej Wsi (gmina Brzozów, województwo podkarpackie), gdzie w latach 1944-1965 zdołał kaplicę domu zakonnego, a następnie został przewieziony do Krakowa. Tam był poddany renowacji, po której w 1967 r. umieszczono wizerunek w ołtarzu kaplicy Rezydencji Prowincjałów Towarzystwa Jezusowego, a w 1972 r. przeniesiono do kościoła św. Barbary. Obraz od 1974 r. znajduje się w Gliwicach – przez 20 lat był w parafii św. Bartłomieja, natomiast od 1994 r. jest w parafii Matki Boskiej Kochawińskiej w dekanacie Gliwice-Sośnica [6, 7].

Kochawina, to dawna miejscowość na Ukrainie, w obwodzie lwowskim położona na południowy zachód od miasta Żydaczowa. Niestety, obecnie nie ma jej na mapach, a jedynie stanowi południową dzielnicę miejscowości o nazwie Гніздичів (Hnizdyczów). Duże straty wśród miejscowej ludności, zarówno żydowskiej, polskiej jak i ukraińskiej spowodowała II wojna światowa. W 1944 r. przed radziecką ofensywą przeciw hitlerowskim Niemcom, księży zarządzający parafią zdecydowali się na wywiezienie cennego wyposażenia, w tym obrazu Matki Bożej na zachód. W ołtarzu potajemnie umieszczono kopię namalowaną w 1939 r. przez artystę ze Lwowa. Obraz słynący łaskami, kielichy, ornaty, wota i część ksiąg przewieziono do wspomnianej powyżej Starej Wsi. Ostatecznie Polacy z Kochawiny wywieźli także kopię cudownego obrazu, która obecnie znajduje się w kościele pw. św. Antoniego z Padwy w diecezji szczytno-kamięńskiej [7]. Po wojnie Kochawina znalazła się w granicach ZSRR, kościół sprofanowano, a następnie zamieniono na magazyn do przechowywania ln. W budynkach klasztoru zorganizowano szkołę z internatem dla dzieci upośledzonych umysłowo. W 1991 r. świątyni przywrócono co prawda charakter sakral-



ny, jednak utworzono tam parafię św. Gerarda, znajdującą się pod opieką redemptorystów z cerkwi greckokatolickiej [5].

INNE KRESOWE WIZERUNKI MATKI BOŻEJ NA ZNACZKACH I KARTKACH

Na wydanych w ostatnich piętnastu latach znaczkach znajdowały się liczne obrazy Matki Bożej z wielu sanktuariów w Polsce [1, 8, 9]. Wśród nich ukazano także Madonny Kresowe – reprodukcje wizerunków Maryi z dwóch obrazów i co najmniej jednej figurki, pochodzących z ziem wschodnich II RP.

W serii trzech znaczków emisji „*Sanktuaria Maryjne*” ukazującej się przez wiele lat, a wydanej 9 lipca 1999 r., przedstawiono na walorze 70 groszy posąg Najświętszej Maryi Panny Jazłowieckiej z sanktuarium w miejscowości Szymanów – Jazłowiec, położonej koło Sochaczewa – 40 km na północny-zachód od Warszawy.

Jazłowiec na Ukrainie – to miejscowość o historii sięgającej XIII wieku, niegdyś własność możnego rodu Buczackich, którego jedna gałąź przyjęła nazwisko Jazłowieckich. W 1863 r. dolny zamek w Jazłowcu znajdujący się w ruinie, odbudowały przybyłe z Rzymu Siostry Niepokalanki i założyły w nim szkołę dla dziewcząt. W kaplicy klasztoru od 1883 r. znajdował się posąg Najświętszej Maryi Panny, wykonany w Rzymie z białego marmuru przez polskiego rzeźbiarza Oskara Sosnowskiego, na prośbę Matki Marceliny Darowskiej – właśnie dla kaplicy domu macierzystego Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek w Jazłowcu. Figurę tę poświęcił 10 sierpnia 1883 r. abp Zygmunt Szczęsny Feliński [9]. Posąg NMP Jazłowieckiej w 1946 r. został przewieziony do kaplicy domu generalnego Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek w Szymanowie.

W sierpniu 2001 r. weszły do obiegu trzy znaczki z ukazującej się już od kilku lat serii „*Sanktuaria Maryjne*”. Oprócz wizerunków: Matki Bożej Pięknej Miłości z kościoła konkatedralnego pw. świętych Marcina i Mikołaja w Bydgoszczy oraz Matki Boskiej Ludźmierskiej – Królowej Podhala z Bazyliki Mniejszej Wniebowzięcia NMP w Ludźmierzu, obydwu wartości po 1 zł, przedstawiono obraz Matki Bożej Zwycięskiej (Rycerskiej) z Mariampola, znajdujący się w kościele pw. NMP na Piasku we Wrocławiu o nominale 1,9 zł.

Mariampol to miasto na Podolu założone przez hetmana koronnego, kasztelana krakowskiego – Stanisława Jana Jabłonowskiego w podzięce Matce Bożej za łaski doznane podczas wypraw wojennych. Obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem z XVIII wieku umieszczony w kościele pw. Trójcy Przenajświętszej cieszył się wśród wiernych ogromnym szacun-

kiem. Po II wojnie światowej wraz z innymi polskimi miastami kresowymi Mariampol znalazł się na obszarze terytorium Związku Radzieckiego. W 1945 r. ostatni proboszcz Mariampola zabrał ze sobą do Polski słynny obraz Maryi w srebrnej sukience. Początkowo umieścił wizerunek w kościele w Głubczycach, a potem we Wrocławiu w najstarszej części miasta – Ostrów Tumski, na odrzańskiej wyspie Piasek. W 1989 r. koronacji obrazu dokonali kardynałowie: Józef Glemp, Franciszek Macharski i Henryk Gulbinowicz [9].

W dniu 14 sierpnia 2004 r. wprowadzono do obiegu, aż 17 znaczków z cyklu „Sanktuaria Maryjne”, w tym na jednym ukazano obraz Matki Bożej Łaskawej z konkatedry św. Stanisława Biskupa Męczennika w Lubaczowie, mieście położonym 68 km od Przemyśla. Lubaczów to osada grodowa, niegdyś wchodząca w skład Grodów Czerwieńskich, ciesząca się prawami miejskimi od XIV wieku, ale zniszczona w toku wojen w XVI stuleciu. Parafia w Lubaczowie została erygowana już w 1388 roku. W murowanej prokatedrze pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika z 1899 r., w ołtarzu głównym znajduje się obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem z XVI wieku, nad których głowami aniołowie podtrzymują korony. Obraz Matki Bożej Łaskawej zasłynął cudami we Lwowie już w XVI wieku, a w XVII stuleciu dziękowano Maryi za wstawiennictwo i ocalenie miasta przed Tatarami i Kozakami. W tym samym wieku umieszczono słynny obraz w katedrze łacińskiej we Lwowie i właśnie przed obliczem Madonny – król Jan Kazimierz złożył ślubowanie, ogłaszając Maryję Królową Polski [9]. Obraz po II wojnie światowej przewieziono do Lubaczowa, gdzie wciąż otoczony jest dużym kultem. Wspomniane powyżej ślubowanie Jana Kazimierza w rocznicę 350-lecia zostało upa-

miętnione kartką pocztową wydaną 1 kwietnia 2006 roku. Na znaku opłaty wartości 1,30 zł przedstawiono obraz Matki Bożej Łaskawej, natomiast w części ilustracyjnej lwowską katedrę pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, nazywaną również Katedrą Polską.

dr inż. *Andrzej Żarczyński,*
Koło PZF „Łódź – Miasto”
im. Czesława Danowskiego, Polska

Przypisy:

[1] <http://www.poczta-polska.pl/sklep/nowosci/> [dostęp: 04.10.2014].

[2] Taras Pałkow, Przewodnik. Zamki i kościoły Galicji, Wołynia i Podola, Wydawnictwo Ładieks, Lwów 2010.

[3] Zbigniew Zawalkiewicz, Warszawa nie można nie pokochać, Kurier Galicyjski, nr 12(208), s. 18, z 3-17 lipca 2014.

[4] <http://www.sokal.fora.pl/spotkania-imprezy-warszaty-linki-dostron-w-internecie,7/madonny-kresowe-w-swiatyniach-warszawy,56.html> [dostęp: 27.09.2014].

[5] http://pl.wikipedia.org/wiki/Matka_Bo%C5%BCa_Kochawi%C5%84ska [dostęp: 04.09.2014].

[6] <http://pl.wikipedia.org/wiki/Kochawina> [dostęp: 04.09.2014].

[7] <http://www.jezuicigliwice.pl/index.php/sanktuarium> [dostęp: 04.09.2014].

[8] Andrzej Fischer, Andrzej E. Grabowski, Stanisław Styła, Jerzy Walocha, „Katalog polskich znaków pocztowych 2014”, Tom I, Fischer Sp. z o.o., Bytom-Kraków 2014.

[9] <http://stamps.y0.pl/polska/polko.php?dzial=1> [dostęp: 08.10.2014].



Kultura - Культура

WŁODZIMIERZ I IRENA



ON

Włodzimierz [1] urodził się w Moskwie. Tu do Rewolucji mieszkali jego rodzice. Wczesne dzieciństwo musiał mieć bez troski i szczęśliwe. Dobrze sytuowana, wielopokoleniowa rodzina [2] oraz stała obecność matki i ojca sprzyjały rozwojowi dziecka. Szczególny klimat domowego ogniska tworzyło harmonijne współzycie dwóch tak różnych osobowości, jakimi byli rodzice. Ojciec [3], człowiek niezwykle pogodny, zawsze wesoły i uśmiechnięty, pełen optymizmu i wiary w przyszłość, potrafił tak prowadzić sprawy rodzinne, by dać pod ten optymizm realne podstawy. Matka [4] natomiast miała osobowość bardziej złożoną, można by nawet rzec – wy rafinowaną. Bardzo młoda i dobrze jak na owe czasy wykształcona, posiadająca licz-

ne talenty, dbała o rozwój duchowy dzieci. Z natury romantyczka, prócz tego niepoprawna idealistka, miała na Włodzimierza ogromny wpływ. Można bez przesady powiedzieć, że te cechy charakteru, które ujawniły się u niego w wieku dojrzałym, przekazane zostały z mlekiem matki. W życiu jednak, nawet najszcześniejszym, zawsze pojawiają się też chwile smutne, często tragiczne. Takimi – dla małego Włodzimierza – były z pewnością śmierć dziadka Azariasza oraz nieuleczalna choroba i śmierć małego braciszka.

Wybuch Rewolucji zmienił wszystko. W 1918 r. matka z dziećmi powróciła do Trok. Po pewnym czasie dołączył do nich również ojciec. Zamieszkali w Nowej Wilejce. Szczęśliwe i bez troski lata moskiewskie stały się przeszłością. Cały dobytek przepadł. Ogólnie, sytuacja w odrodzonym państwie polskim była ciężka. Póki żył ojciec, rodzina miała zapewniony byt. Jego przedwczesna śmierć pogorszyła znacznie sprawę. Gdy Włodzimierz ukończył gimnazjum, stanął przed koniecznością wyboru zawodu. Zamierzał studiować prawo. Jednak o wyborze zdecydowała rada wuja [5], który sugerował, że w sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie rodzina, najrozsądniej będzie wybrać zawód wojskowego, gwarantujący szybką stabilizację [6].

Włodzimierz ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty [7] w Komorowie. Marzył mu się jednak ułani. Dopiął swego. Po przejściu przeszkolenia [8] dostał się do kawalerii. Ostatni przydział to porucznik w 19 Pułku Ułanów Wołyńskich [9], stacjonującym w Ostrogu nad Horyniem. Z kolei ostatni pewny ślad to list do narzeczonej, datowany na dzień 29 sierpnia 1939 r., wysłany z Ostrogu.

Co do dalszych losów Włodzimierza brak absolutnej pewności. W początkowej fazie wojny jego pułk brał udział w wal-

kach nad Wisłą, niedaleko Warszawy. Tam mógł polec. Jednak rodzina przyjęła za prawdopodobny inny ślad, prowadzący na Wołyń. Według opowiadań jednego z ocalałych podoficerów [10] oddział, w skład którego wchodził Włodzimierz, został rozbrojony przez Ukraińców [11]. Od kadry miano zażądać zdarcia oficerskich szlifów. Ci, którzy tak postąpili, ocalili. Włodzimierz był wśród pozostałych. Wyżej od wolności ocenił honor.



ONA

Irena [12] przyszła na świat w 1918 r. w Wybörgu [13], gdzie jej matka, razem z pierwotnym synem, schroniła się przed pożąką wojenną i bolszewicką rebelią. Wcześniej rodzice mieszkali w Petersburgu. Ojciec [14] był oficerem carskiej, a potem białej armii. Matka [15] studiowała stomatologię [16]. Po jakimś czasie matka z dziećmi, nie mogąc już powrócić do swojego – spalonego przez Rosjan – rodzinnego gniazda na Łotwie, przeniosła się do te-

ściów mieszkających w Kozakiszkach, w powiecie trockim. Później cała rodzina zamieszkała w Wilnie. Matka Ireny pracowała tu jako dentystka, ojciec początkowo w banku, a później jako urzędnik na kolei. Po wybudowaniu domu rodzina Rukszto przeniosła się do Nowej Wilejki.

Prócz starszego brata Irena miała dwoje młodszego rodzeństwa. Na atmosferę panującą w rodzinie decydujący wpływ wywierał autorytarny charakter ojca. Pracująca zawodowo matka, w wymiarze przekraczającym jej nadwątlone chorobą siły, nie miała możliwości tchnąć nieco ciepła w domowe ognisko. Uwaga rodziców skupiała się na synach, córki były ledwo tolerowane. Wydaje się, że emocjonalnych braków nie był w stanie wyrównać niewątpliwy materialny dostatek.

Irena ukończyła gimnazjum w Nowej Wilejce. Po maturze wysłana została do szkoły pielęgniarek w Warszawie. Mieszkała tu w internacie, praktykowała w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Wydarzenia września 1939 r. pokrzyżowały jej wszystkie plany, zawodowe i osobiste. Powróciła do Wilna, do rodziców. Tutaj spędziła czas wojny. W 1940 r. wyszła za mąż. Niedługo przyszły dzieci. Po „wyzwoleniu” rodzina repatriowała się do Polski i osiadła na Dolnym Śląsku. Irena prowadziła dom i wychowywała potomstwo. Dożyła sędziwego wieku. W pamięci swoich bliskich zapisała się jako osoba, która zawsze gotowa jest podporządkować materialną sferę życia wartościom wyższym – tak, jakby chciała wyrównać rachunek z przeszłością.

ONI

Poznali się w Nowej Wilejce. Ona, młodziutka uczennica gimnazjum, która jeszcze nie całkiem pożegnała się z okresem dzieciństwa. On, dojrzały już mężczyzna, starszy o dziewięć lat oficer Wojska Polskiego. Ona spragniona ciepła i czulego wsparcia kogoś bliskiego; on romantyk, od dzieciństwa karmiony ideałami męstwa i rycerskości. Jakie towarzyszyły temu okoliczności, nie wiemy. Być może pośrednią przyczyną znajomości był ból zęba, który

zawiódł go do wojskowej dentystki [17]. Jeżeli tak, to mimo że ząb został wyciekony, ból naznaczył dalszy bieg wydarzeń.

Czy miłość ich wybuchła od razu, czy też związana na początku nić sympatii z czasem zamieniła się w głębokie, dojrzałe uczucie? Tego też nie wiemy. Czasu było dość, ich znajomość trwała ponad pięć lat. I nie był to okres stałej radości. Włodzimierza źle widziano w domu Ireny. Bardzo ambitny, o mocno wykształconym poczuciu własnej wartości, musiał przeżywać tam ciężkie chwile. Czym mogła być spowodowana niechęć ojca Ireny do młodego człowieka, starającego się o jej względy? Może dla rodziny katolickiej Karaim był nie do przyjęcia? Może decydował tu odmienny status materialny obojga młodych? Może wreszcie zaważyły jeszcze inne względy?

Również ze strony własnego otoczenia, szczególnie matki [18], Włodzimierz nie mógł oczekiwać wsparcia. Był świadom tego, że następstwem małżeństwa z nie-Karaimką stanie się konieczność odejścia od własnej społeczności. Z pewnością wiedział, jakim to będzie ciosem dla jego bliskich.

Kto wie, czy sytuacja Ireny nie była jeszcze gorsza. Zależna od rodziców, nie decydując się na zerwanie z nimi stosunków skazana była na uległość. Musiała zaakceptować fakt, że oświadczyły o jej rękę zostały odrzucone i poddać się decyzji ojca wysyłającej ją na naukę do Warszawy.

Pięć lat to długi czas. Nie był usłany różami, lecz z pewnością nie zabrakło w nim i pachnących konwalii. Młodzi spotykali się często, snuli wspólne marzenia. Nie wiele o tym można teraz powiedzieć, ponieważ będąc blisko siebie nie pisali listów, nie pozostawili trwałych śladów. Jedynie pamiątki, jakie się zachowały, to wspólne zdjęcie z jakiejś wycieczki – oczywiście w towarzystwie młodszego rodzeństwa Ireny, подарowana na gwiazdkę książka z dedykacją, stary patefon...

Pisać do siebie zaczęli dopiero w lecie 1939 r., gdy Włodzimierza przeniesiono na Wołyń. Przepadły listy Ireny. Natomiast w korespondencji adresowanej do niej jest

wiele troski o ukochaną kobietę oraz ból spowodowany rozłąką. W sierpniu 1939 r. Włodzimierz śle z Ostrogu jeszcze dwa listy. Pierwszy, pełen ciepła i serdeczności do – przebywającej w sanatorium – matki Ireny oraz drugi, niezwykle w swej treści dramatyczny, do jej ojca. W tym ostatnim wypomina pasmo przykrości i upokorzeń, jakich w ciągu pięciu lat doświadczał ze strony rodziców ukochanej, zapewnia o stałości swych uczuć i całkowitej bezinteresowności, wreszcie ponawia prośbę o rękę Ireny. Jakież jest jego zdziwienie i radość, gdy po przedłużającym się w niepewności oczekiwaniu przychodzi odpowiedź pozytywna [19].

* * * * *

Ślub przewidziano na wrzesień 1939 r. Wybuch wojny przekreśla wszystko. W pierwszych dniach września zawieszono zostają zajęcia w warszawskiej szkole pielegniarek, słuchaczki zwalniane są do domów. Irena wraca do Wilna. Jedyny pociąg, którym można wyostać się z Warszawy, zmierza na Wołyń – przynajmniej taka jest wersja oficjalna. Irena jedzie do Równego. W drodze doświadcza wszystkich okropności wojny: bombardowanie pociągu, zabici ludzie i konie, pożary i zgłiszcza. Oczywiście nie znajduje już Włodzimierza. Nocuje u gospodyni, która dawała mu kwatery, zdaje się, że w tym samym pokoju. Tu zaskakuje ją pamiętny 17. września. Nie może wrócić do domu. Jest świadkiem i uczestniczką tragicznych wydarzeń, jakie mają miejsce. Po pewnym czasie udaje jej się przedostać do Wilna. Powraca do rodziny.

Po otrzymaniu wiadomości o zaginięciu Włodzimierza Irena widzi się pierwszy i ostatni raz z jego matką. Ma to miejsce w Wilnie. W spotkaniu uczestniczą także dwie siostry Włodzimierza.

PO LATACH

Jest upalne lato 2006 r. Przez Troki przewalają się tłumy wycieczkowiczów. Wśród nich jest turystka z Polski. Jej pobyt na Wileńszczyźnie to podróż sentymental-

na. Tropi ślady przeszłości. Nowa Wilejka, Wilno – tam zylł jej przodkowie, tam również ona przyszła na świat. Troki natomiast pojawiają się na szlaku z uwagi na walory turystyczne, z tym miejscem nie wiąże żadnych szczególnych wspomnień.

Jak wielu zwiedzających trafia również do kienesy, po której oprowadza pan Michał Zajączkowski. Opowiadając o Karaimach wtrąca on również uwagę o ich wojskowych tradycjach. W tym momencie wywołują się z pamięci turystki fragmenty zasłyszanych w dzieciństwie rozmów, stare – niedawno odnalezione – listy. RzUCA zdanie, że jej matka miała przed wojną narzeczonego Karaima, który był zawodowym oficerem, nazywał się Poziemski. – Włodzimierz – bez chwili namysłu odpowiada oprowadzający. Turystce w tym momencie ciarki przechodzą po plecach. Minęło blisko siedemdziesiąt lat od tych wydarzeń, ich bohaterów nie ma już na świecie, a tu nagle, w miejscu i czasie tak nieoczekiwanym... Wywiązuje się rozmowa. Gospodarz kienesy zapewne wspomina czasy, gdy przyjeżdżający na święta Włodzimierz modlił się w tym miejscu. Opowiada, jakie wrażenia na obserwujących go karaimskich chłopcach robił mundur oficera ułanów i szabla. Wychodzą na zewnątrz. Pan Michał pokazuje dom rodzinny Łobanosów, gdzie zatrzymywał się odwiedzający matkę Włodzimierz. Turystka poddana jest kolejnym wzruszającym emocjom. Uświadamia sobie, że jej matka, która spędzała po wojnie wakacje w Trokach, przechodząc obok tego domu, nie była świadoma faktu, że przez wiele lat mieszkała w nim matka byłego narzeczonego.

* * * * *

Wydarzenie, jakie miało miejsce w Trokach, wydało nieoczekiwany plon. Składają się nań listy, fotografie, bilet wizytowy porucznika 19 Pułku Ułanów Wołyńskich, a przede wszystkim – wspomnienia.

Listy do narzeczonej, pisane z Ostrogu i z poligonu, wysyłane były co 5-6 dni (taki rytm nadawała zapewne poczta: 2-3 dni w jedną stronę i tyleż z powrotem). Ostat-

ni datowany jest na dzień 29 sierpnia 1939 r. – pisany musiał być późnym wieczorem, bo Włodek tłumaczy się, że jest zbyt późno by kupić atrament i dlatego pisze ołówkiem. Jak żywy staje przed oczyma obraz – poprzedzających wybuch wojny – dni spędzanych w małym wołyńskim miasteczku. Dokładny opis pokoju – szafa, stół, lustro... Pogoda – nieźnośny żar lub gwałtowne ulewę. Imię kłaczy i wypadek na poligonie, gdy Elita zaczęła o przeszkodę i wywracając się zrzuciła Włodka, powodując jego niezłe poturbowanie. A wszystko przepojone wielką tęsknotą za ukochaną, bólem wywołanym rozstaniem oraz troską o jej zdrowie i los. Włodek oczywiście wie, że do wybuchu wojny pozostały zaledwie dni albo godziny. Spodziewa się, iż lada chwila brygada zostanie skierowana pod Gdańsk. Dlatego w każdym liście wielokrotnie powtarzane są prośby, by narzeczona przyjechała go odwiedzić, choćby na jeden dzień. Stale wspomina, że strasznym ciosem byłoby dla niego wyruszyć na wojnę bez pożegnania, i że nie dopuszcza do siebie myśli, że może polec nie widząc jej wcześniej. Nie traci jednak nadziei i optymizmu. Przeciwnie wspólnie wymarzone szczęście jest już tak blisko. Pisze, że skoro przez minione pięć lat cierpiał tak bardzo, to pewnie po to, by dalsze życie mogło być niewymiernym szczęściem. W swojej nieświadomości przekonuje ją również, iż w razie wybuchu wojny, najbezpieczniej będzie na Wołyniu, z dala od niemieckiej granicy.

Niestety, na Wołyn Irena dotarła zbyt późno. Ich trwającą osiem miesięcy rozłąkę opatrność przedłużyła ponad wszelką miarę. Tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna wydarzeń, na użytek rodziny. Gdy jednak dokładniej wczytamy się w treść listów pisanych przez Włodka zrozumiemy, że do spotkania tych dwojga na Wołyniu jednak doszło. Gdzieś przed lipcem 1939 r. Irena musiała bez wiedzy rodziców odwiedzić narzeczonego. Być może pośród konwalii zakwitła na krótko i róża...

Pisane ręką Ireny listy przepadły. Sadzę jednak, że o jej uczuciu świadczą niektóre fakty. Ciągnęło ją do Trok. Długo po opisa-

nych wydarzeniach pamięć o Włodku była w jej domu ciągle żywa. Przez ponad sześćdziesiąt lat przechowywała pieczołowicie wszystkie pamiętki. Gdy w 1945 r. NKWD zaczęło interesować się jej ojcem i rodzina w pośpiechu opuszczała Wilno, nie omieszczała zabrać ze sobą śladów przeszłości, łącznie z darowanym przez Włodka patefonom. Ten patefon zachował się w jej rodzinie do dzisiaj, choć pęknięta sprężyna nie pozwoli mu już nigdy odegrać dawno przebrzmiałych melodii.

Konstanty Pilecki

Przypisy:

[1] Włodzimierz Poziemski (1909-1939?).

[2] Pozostała część rodziny, zamieszkującej w domu przy ul. Pawłowskiej – oprócz rodziców – stanowili: dziadkowie Azariasz i Anna z Abkowiczów Poziemscy, starsze siostry Natalia i Ludmiła oraz młodszy brat Konstanty. Najmłodsza siostra Irena urodziła się już w Polsce.

[3] Alfred Elifas Poziemski (1876-1930).

[4] Lidia z Łobanosów Poziemska (1886-1952) – patrz: *Cień z przeszłości*, „Awazymyz” 1(4)/2000.

[5] Mowa tu o Eliaszu Jutkiewicz, znanym w latach międzywojennych prawniku wileńskim.

[6] Te same względy zdecydowały o tym, że najstarsza z rodzeństwa, Natalia, musiała zrezygnować z marzeń o medycynie i pójść do szkoły położnych.

[7] Absolwent z roku 1934.

[8] Prawdopodobnie w Centrum Wyszko-
lenia Kawalerii w Grudziądzu.

[9] Na Wołyń został przeniesiony kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Wcześniej mieszkał w Nowej Wilejce, co mogłoby wskazywać na 13 Pułk Ułanów Wileńskich.

[10] Obecnie trudno jest ustalić, czy był on naocznym świadkiem tych wydarzeń, czy tylko powtarzał zasłyszane wiadomości.

[11] Wydaje się, że nie ma tu sprzeczności. W pułku miały miejsce przegrupowania. Po odejściu podstawowego składu na teren operacyjny, w garnizonie w Ostrogu pozostał szwadron zapasowy oraz nadwyżki mobilizacyj-

ne. Por. Włodzimierz Poziemski (WP), który przygotowywał się do kursu dowódców szwadronów (kurs ten miał rozpocząć w połowie września w Centrum Wyszko-
lenia Kawalerii w Grudziądzu), pozostał w garnizonie, gdzie zajmował się szkoleniem rezerwy pułku (pełnił tutaj funkcję zastępcy dowódcy, którym był mjr Daniłło-Gąsiewicz). Na przełomie sierpnia i września obsada garnizonu została przeniesiona z Ostrogu do Hrubieszowa i weszła w skład Oddziału Zapasowego Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Gdy z O.Z. zostało wydzielone tzw. Zgrupowanie Kawalerii ppłk Halickiego, WP znalazł się w jego składzie i otrzymał funkcję dowódcy szwadronu. Następnie uczestniczył we wszystkich działaniach bojowych Zgrupowania, do natarcia na Rawę Ruską włącznie (24 września). Prawdopodobnie był wśród żywych, gdy następnego dnia płk Hanka-Kulesza podpisywał kapitulację przed Niemcami. W czasie składania broni część oficerów skorzystała z wolnej ręki, jaką dał im ppłk Halicki, i nie poszła w niewolę, lecz opuściła Zgrupowanie z zamiarem przedarcia się na Węgry. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znalazł się w niej także WP.

[12] Irena Ruksztówna (1918-2004).

[13] W tym czasie Wybörg leżał na obszarze Finlandii.

[14] Wiktor Rukszto, pochodził z Wileńszczyzny.

[15] Jadwiga Rukszto, wywodziła się z osiadłego w Inflantach szwedzkiego rodu von Zigiern-Korn.

[16] Jadwiga Rukszto była jedną z pierwszych kobiet, które ukończyły w Petersburgu studia stomatologiczne.

[17] Jadwiga Rukszto miała etat w wojsku, w Nowej Wilejce.

[18] Ojciec w tym czasie już nie żył.

[19] List do ojca Ireny datowany jest na dzień 4 sierpnia 1939 r., odpowiedź nadeszła 11 sierpnia tegoż roku.

Autor dziękuje pani Annie Piasecznej, która udostępniła listy, fotografie, oraz podzieliła się wspomnieniami dotyczącymi Ireny Ruksztówny.

[„Awazymyz” 2006, nr 1 (12), s. 3-6.]

Kultura - Культура

„ŁUCK-HOLOCAUST” – OD PRZEŻYĆ WOJENNYCH DO KSZTAŁTU BRZMIENIOWEGO

Gdy w czerwcu 1989 roku zwrócił się do mnie dyrektor artystyczny „Leningnickiego Conversatorium” – prof. Stanisław Moryto z zamówieniem na napisanie utworu na organy i perkusję – obudziło to w mojej pamięci obrazy z okresu dzieciństwa. Były to wspomnienia zdarzeń z czasów okupacji sowieckiej, niemieckiej i działalności band ukraińskich, grasujących na Wołyniu i w samym Łucku [1]. Obok okropności wojny, w pamięci utkwiły mi szczególnie głęboko dźwięki organów katedry i jej dzwonów oraz dzwonek ministerialnych. Nastroje grozy z okresu nalotów i bombardowań artyleryjskich, świst pocisków i spadających na miasto bomb połączyły się w mojej świadomości w jedną całość z nastrojami modlitewnych, żarliwych śpiewów: „*Kto się w opiekę*”, „*Święty Boże*”, „*Pod Twoją obronę*”. Odbywały się one w gronie bliskich i znajomych, zgromadzonych w domu, w schronie zbudowanym w ogrodzie i w świątyniach miasta.

Sowiecki pocisk artyleryjski, który trafił w nasz jednopiętrowy dworek na Krasnem, na przedmieściu Łucka przy ul. Włodzimierskiej, nie wyrządził wielkiej szkody, a odłamek wpadający przez szybę zatrzymał się na drewnianym obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej, postawionym na parapecie okna, tuż przede mną, na wysokości mojej głowy. Głosy, towarzyszące akcjom wojsk sowieckich i niemieckich, zmieszały się w mojej pamięci z continuum śpiewanych pieśni re-



Ryszard M. Klisowski

Fot. Archiwum

ligijnych, szeptanych lub odmawianych rytmicznie modlitw czy też wypowiedzianych w myśli aktów strzelistych. Wszystkie przeżycia zlały się w ciąg zdarzeń, możliwych tylko do wyrażenia w dźwiękach, nie będących jednak ani zwykłą ilustracją czy też odtwarzaniem chronologii poszczególnych sytuacji, ani też chwil przeżytych napięć. Stały się one raczej pewną kwintesencją wyrazową, czymś w rodzaju kodu archetypowego.

Losy ludności miasta były trudne i złożone. W Łucku mieszkało około 40 tys.

ludności, w tym 48% ludności żydowskiej, 42% ludności polskiej, a tylko 7% ludności ukraińskiej oraz 3% innych narodowości. Te dane pochodzą z „Rocznika Ziemi Wschodnich” z 1939 roku [2]. Do napadu Sowietów we wrześniu Łuck miał podobno 50 tys. mieszkańców. Niedługo potem 80 tys. wraz z uciekinierami, którzy tu przybyli, uciekając przed falą rzezi dokonywanych przez Ukraińców na Wołyniu.

Strzępy zdarzeń, tworzące makabryczny collage nastrojów, związane są w mojej pamięci między innymi z katedrą łucką, cmentarzem, więzieniami miejskimi, targiem i znajdującym się w centrum miasta oraz utworzonym przez Niemców gettem. Już jako małe dziecko chodziłem z siostrą mego ojca, matką chrzestną – Heleną Jakubowską do katedry niemal codziennie, czasem nawet dwa razy dziennie, aby modlić się w intencji moich rodziców wywiezionych przez Sowietów. Katedra stanowiła nie tylko miejsce modłów, ale także kontakt z dźwiękiem organów i muzyką kościelną. Cudowny obraz Matki Boskiej Łatyczowskiej, znajdujący się w tej katedrze, był przedmiotem szczególnego kultu ludności Łucka i województwa wołyńskiego. Przed tym obrazem składaliśmy nasze prośby i błagania o ratunek.

Już jako dziecko musiałem nauczyć się sztuki milczenia, aby nikogo nie narażać na niebezpieczeństwo. Nasz dom był miejscem wielu spotkań konspiracyjnych i rozmów żołnierzy Armii Krajowej, był też schronieniem dla uciekinierów z rzezi urządzanych przez bandy ukraińskie w pobliskich miejscowościach. Był także miejscem pomocy Żydom. Liczba tych, którzy wtedy zginęli, wynosi ok. 17-20 tys. Z Armią Krajową współpracowała cała moja rodzina. W domu była też ukryta broń będąca własnością Armii

Krajowej, broniącej miasto przed napadami band ukraińskich. Do jednej z grup AK, zwanej „Gromada”, należał mój stryj Władysław, którego pamiętam wychodzącego na akcje w długim płaszczu, pod którym ukryta była broń.

Większość grup AK z Łucka uniknęła szczęśliwie dekonspiracji po ponownym wejściu do miasta Sowietów. Niedługo potem dowiedzieliśmy się, że do miasta wkroczyła też Armia Polska w czapkach, do których przyczepione były – jak mówiono – nie orły, lecz kury. Inne orzelki z koroną były dla mnie symbolem polskości. Patrzyłem więc na tę armię z nieufnością, szukając na jej czapkach ukrytej pod orłem czerwonej gwiazdy. Ta nieufność nasiliła się jeszcze bardziej, gdy przyszła fala aresztowań i wywózek na Sybir. Stale byliśmy narażeni na wizyty sowieckich żołdaków, grabiących bez skrępułów mienie ludności polskiej. Jedną z krewnych, Anna Puchalska, absolwentka carskiego gimnazjum w Kijowie, mówiąca doskonale po rosyjsku, umożliwiła nam przetrwanie. W katedrze łuckiej przystąpiłem do pierwszej komunii, nie mając żadnych wiadomości o rodzicach. Wraz z kolejnym przegrupowaniem wojsk dotarli do Łucka także nasi znajomi, od których dowiedzieliśmy się szczegółów o losach naszych bliskich. Ojcu Mieczysławowi udało się dostać do armii gen. Władysława Andersa, matka Halina, z domu Święcicka, po latach spędzonych w Kazachstanie, wydostała się wraz z II Armią. Nasze modły zostały wysłuchane.

Wkrótce wojska polskie opuściły miasto, a władza sowiecka jeszcze bardziej nasiliła prześladowania. Pojawił się w Łucku pomnik Lenina, aresztowano księży i obsługę kościelną. Pobliski kościółek na Krasnem, należący do Seminarium Duchownego, został zabity deskami, a Seminarium Duchowne zamieniono na ko-

szary. Wraz z ciotkami chodziłem nieraz do więzienia na widzenie z aresztowanymi lub po prostu po to, aby im podać paczkę żywnościową. Widziałem wtedy z bliska mury zniszczonej, pięknej siedemnastowiecznej synagogi, w której śpiewały już tylko ptaki. Na stojących jeszcze ścianach widziałem przepiękne polichromie. Po raz pierwszy widziałem też groby żołnierzy radzieckich. Brak krzyża jakoś dziwnie szpecił te mogiły. Uczestniczyłem także w pogrzebie znajomego kapitana polskiego, który chcąc uniknąć zsyłki zastrzelił się. Jego piękna polska rogatywka z orłem w koronie została na grobie. Moi stryjowie wcieleni do polskiej armii szybko awansowali na oficerów i przysłali nam wiadomość, że mamy się szykować do wyjazdu z Łucka. Chcąc pozostać polskimi obywatelami nie mieliśmy innego wyjścia.

Aresztowano i wywieziono przyjaciół rodziny, księży: Bukowińskiego i Kuczynskiego. Dalszy pobyt stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Decyzja zapadła. Do bydłowych wagonów można było zabrać rzeczy osobiste, ale nawet z tego ograbiono nas na stacji. Łuck opuściliśmy ze ściśniętym gardłem i ze łzami w oczach. Stryj Władysław przygotował nam mieszkanie w Lublinie u dwóch sióstr Kielczewskich z ziemiańskiej rodziny. Obraz Matki Boskiej Łatyczowskiej przemycono z Łucka do Lublina, pomogli w tym wierni. Znowu mogłem się modlić do tego cudownego obrazu w intencji moich rodziców.

Katedrę w Łucku zamieniono na muzeum ateizmu. „Łuck-Holocaust” nie skończył się jeszcze w 1989 roku, kiedy zapisywałem nutami mój utwór. Katedra łucka stała się obecnie miejscem modłów katolików.

ROZWAŻANIA O WARTOŚCI

Nakreślone przez mnie powyżej ide-

ogramy powinny przybliżyć przesłanie mojego utworu. Karta tytułowa wraz z dedykacjami i wstępnym tekstem może być w tym świetle bardziej czytelna [4]. Czy udało mi się oddać w dźwiękach nastroje i głębię przeżyć z okresu dzieciństwa? O tym niech rozstrzygają słuchacze. Dotychczasowe prezentacje silnie ich poruszały. Czy jednak, jako kompozytor, mam prawo ustosunkowywać się w tym aspekcie do utworu skomponowanego przeze mnie? Jeżeli tak, to w jakim stopniu i w jakim zakresie?

Jednym z przedstawionych kryteriów oceny wartości dzieła sztuki jest zaistnienie sytuacji estetycznej. Na taką sytuację składa się komunikacja między kompozytorem a wykonawcami, których kreacja może stworzyć przeżycie estetyczne u odbiorców. Proces ten interesuje estetykę o tyle, o ile odbiorca jest zdolny do przeżycia estetycznych aktualnie bądź potencjalnie w przyszłości. Estetyka z kolei inte-

resuje się twórcą, ale tylko na tyle, na ile wchodzi w grę proces prowadzący do powstania dzieła posiadającego wartość estetyczną. Kto ma rację? Czy Platon twierdząc, że wartości istnieją obiektywnie jako idee, czy też Jean Paul Sartre twierdząc, że człowiek, aby zapełnić pustkę swojego bytu, stworzył wartości? Aktywność intelektualna ludzi powoduje nieustanne wartościowanie, czyli wydawanie ocen lub ich sugerowanie przez określone typy zachowań. Szereg naukowców próbowało stworzyć definicję pojęcia wartości estetycznej. Roman Ingarden mówi o przyporządkowaniu „jakości wartościowych” własnościom artystycznym [5]. Inaczej mówiąc, uważa, że każdemu rodzajowi wartości odpowiada obiektywnie stwierdzalny zestrój jakości zmysłowych dzieła. Podobnie występuje zakorzenienie wartości estetycznej w wartości realnej, jak na przykład tragizm dzieła i tragizm w życiu. Dalsze rozważania mogą prowadzić do pytania: czy wartość przedmiotu, czyli wartość estetyczną, można sprowadzić do innych wartości, czy też jest to cecha nieredukowalna. Moim zdaniem mogą tu zachodzić oba przypadki. Będzie to zawsze zależeć od odbiorcy. To, co dla twórcy jest redukowalne, możliwe jest do sprowadzenia do innych wartości przez odbiorcę dysponującego inną wrażliwością, innymi doświadczeniami. Może też zaistnieć przypadek nieredukowalności wartości przedmiotu (niezrozumienie przesłania komunikatu). O ile przedmioty codziennego użytku mogą być tworzone według pewnych stałych norm, do których zaliczyć można przede wszystkim funkcjonalność, to w dziele sztuki normy te obowiązują w znacznie mniejszym zakresie (format dzieła, obsada, faktura). W zależności od idei utworu i konkretnego zamówienia na przestrzeni wieków ideały wartości estetycznej zmieniały się. Dziś

odbieramy je inaczej niż w czasach, gdy powstały. Według niemieckiego filozofa Nicolai Hartmanna, oscylującego w kierunku filozofii idealistycznej, powstające dzieła są wyrazem różnej materializacji „ducha”, jako:

– Ducha osobowego, czyli jako wyrazu indywidualności artystycznej psychiki (wielka oryginalność twórcy);

– Ducha obiektywnego, czyli jako wyrazu realizacji opinii publicznej lub tendencji artystycznych panujących w danej epoce (tzw. komercyjne traktowanie zadań twórczych);

– Ducha zobiektywizowanego, przejawiającego się w sposób łączący dwa poprzednie przejawy.

Według Nicolai Hartmanna suma ocen pozytywnych dzieła dokonana przez znawców o odpowiednim wyrobieniu estetycznym może przesądzać o zobiektywizowaniu wartości estetycznej dzieła. Autor ten uważa, że każdy przejaw ducha musi mieć oparcie w realnym przedmiocie materialnym. W przypadku dzieła sztuki „*duch żywy*” zaszczepia wartość w przedmiocie realnym (w tworzywie takim, jak: kamień, słowo i dźwięk). Ukończone dzieło sztuki, jak i ucieleśnione w nim wartości uzyskują byt niezależny od twórcy, intersubiektywny (ogólnie dostępny odbiorcom) oraz byt materialny o właściwościach fizycznych, dostępnych zmysłowo. Wartości realizowane w dziele istnieją wtedy w pełni, gdy są aktualizowane przez odbiorcę w czasie wystawy, koncertu, czyli w aktach percepcji i doznaniach. Gdy wartość estetyczna dominuje w dziele, przesłania ona samo dzieło i wychodzi na plan główny w naturalnej spontanicznej reakcji odbiorców. Reakcja słuchaczy ma wtedy naturę estetyczną [6].

Przy wartości estetycznej równorzędnej z innymi własnościami dostrzegamy wartość estetyczną wraz z innymi cechami

mi na równi. Wartość estetyczna może tu być podporządkowana na przykład użyteczności (literatura pedagogiczna). W przypadku odbioru sztuki współczesnej może się zdarzyć, że wartość estetyczna dzieła nie zostanie dostrzeżona w emocjonalnym, spontanicznym akcie percepcji. Wtedy doznania mogą być nośnikiem refleksji filozoficznej, na przykład o nieskończoności wszechświata. Uwaga odbiorcy może się też koncentrować na fakturalnych, technicznych walorach dzieła. Ten drugi rodzaj odbioru jest szczególnie właściwy percepcji dzieł sztuki przez profesjonalistów i jest związany z intelektualnym poznaniem dzieła. Istnieją więc dwie różne koncepcje aktu poznania dzieła. Ingarden przyznaje charakter emocjonalny wstępnym fazom poznawania utworu (emocja wstępna), a charakter intelektualny – fazom dalszym. W całym przeżyciu estetycznym następuje zmieszanie obu wartości. Intelkt jest potrzebny do odnadywania w dziele tych wartości, które wywołują wrażenia wzruszenia estetycznego, a więc do rozpoznania jakości i do wydania oceny końcowej. Czynniki intelektualny jest obecny, jak się wydaje, w każdym akcie poznania. W najmniejszym stopniu znajdujemy go w tzw. fascynacji estetycznej, a w największym w przeżyciu teoretyzującym – właściwym profesjonalistom. Stworzenie ścisłej definicji wartości estetycznej nastęrcza jednak wiele trudności. Maria Gołaszewska pisze, że znacznie łatwiej jest najpierw stworzyć teorię, a potem dopiero drogą dedukcji dojść do definicji. Brak precyzji istniejący w sformułowaniach słownych tworzy tu istotną barierę. Ta sama autorka uważa, że wartość estetyczna ma charakter syntetyzujący szereg właściwości przedmiotu i jest pochodną stosunku do jakości zmysłowych i struktury. Nie można jednak wartości estetycznej sprowadzić do żadnej innej war-



tości ani właściwości przedmiotu. Intersubiektywny charakter wartości estetycznej, to znaczy dostępność dla każdego człowieka wrażliwego na piękno i wykształconego do odbioru sztuki, jest ważnym czynnikiem pozwalającym na prowadzenie sondażu przez ankietera i na dokonanie statystycznych obliczeń umożliwiających znalezienie pewnych prawidłowości [7]. Obiektywność wartości estetycznej polega na dostępności do odbioru zmysłowego w konkretnym, bezpośrednim doświadczeniu każdego z nas – odbiorców. Takiej obiektywności nie ma na przykład w intencji twórcy, znajduje się ona natomiast w konkretnym realnym przedmiocie, dziele stworzonym przez artystę. Dzieło sztuki samo w sobie prezentuje swą wartość. Wartość ta wyabstrahowana z przedmiotu poprzez zabiegi metodologiczne krytyków sztuki staje się tzw. wartością czystą – będącą niczym innym, jak zwykłą konstrukcją myślową, ułatwiającą

w sferze intelektualnej kontakt odbiorcy z dziełem. Przyznanie więc wartości estetycznej dziełu nadaje mu sens istnienia, rację bytu.

Wśród kategorii estetycznych na pierwszy plan estetyka wysuwa piękno, jako kategorię nadrzędną, w której mieszczą się wszystkie, bardziej szczegółowe cechy. Starożytni Grecy „to kalon” utożsamiali ze wszystkim, co budziło podziw i uznanie, zarówno w sferze zjawisk zmysłowych, jak i właściwości duchowych. Tworzyli oni kanony wywodzące się z praw bytu, proporcji matematycznych i harmonii ukrytych przed wzrokiem, dostępnych zmysłom z jednej strony, a z drugiej – budzących przyjemne i mocne doznania w sferze zmysłowej.

W wyniku lepszego poznania świata piękno w estetyce współczesnej posiada znacznie szerszą formułę, wykraczającą poza grecką harmonię ze światem. Człowiek współczesny, spotykając na swej drodze wiele sprzecznych tendencji przenikających do jego świadomości, widzi świat i rzeczywistość, w której żyje, jako coś niedoskonałego, pełnego chaosu. Świadomość licznych zagrożeń i rozdarci wewnętrzne człowieka współczesnego znajduje swoje odbicie także w sztuce. W miejsce ładu harmonijnego, piękna, umiaru i spokoju pojawiło się inne piękno, pełne dysharmonii, niepokoju, napięć i konfliktów, piękno podniecające. Dzieła sztuki uchodzące dawniej za piękne dziś mogą być oceniane co najwyżej jako ładne i nie budzić już emocji o dawnym nasileniu. Nowe piękno rozszerza granice ludzkiego odczuwania świata burząc dawne ideały, tworzy nowe – zbudowane w oparciu o inne zasady konstrukcyjne i materiałowe. Są one wyrazem poszukiwań nowych form dla nowych treści. We wszystkich sztukach istnieją ciągle poszukiwania nowych formuł wyrazu, będących odbiciem

indywidualnych poszukiwań twórców z jednej strony i odbiciem współczesnych nurtów z drugiej strony. Sztuka, aby była zarazem prawdziwa i aktualna, musi być odbiciem problemów nurtujących współczesnego człowieka. Twórcy, którzy jak barometr wyczuwają nastroje i problemy współczesnej rzeczywistości, reagują na nie poprzez swą nadwrażliwość w sposób wyostrowany i kodują je w swych dziełach w formie artystycznej wypowiedzi.

Platon, nadając pięknu cechę transcendentną niezniszczalnej wiecznej idei, umieścił je obok dobra i prawdy. Wprowadzenie przez Plotyna nowych przemyśleń do definicji piękna poszerzyło znacznie jego rozumienie. Filozof ten zwrócił uwagę na to, że piękno nie jest zależne od proporcji symetrycznych, bo takie cechy mogą istnieć także w rzeczach złych, a zło wyklucza piękno. Według Plotyna jest ono jakością, a nie stosunkiem części, jest objawieniem się ducha w materii. Piękno zmysłowe jest według niego refleksem, odbiciem piękna nadzmysłowego. A to jest już postawa mistyczna.

Poszerzenie wartości estetycznych o nowe kategorie spowodowało już w XVIII wieku powstanie stwierdzenia, że istnieje wiele odmian piękna (Burke, Kant). Zamierzenia do oddania w dźwiękach moich osobistych przeżyć, o których pisałem na początku, można potraktować, jako inspirację. Dla estetyki natomiast nie są ważne intencje, ale to, co twórca osiągnął i przekazał w swoim utworze. Wiadomo, że gotowe dzieło nosi w sobie ślad osobowości twórcy, ale może ono pozostawać w różnym stosunku do osobowości podstawowej. Edgar de Bruyne w „*Esquisse d'une théorie de l'art*” określa artystę-twórcę jako kontemplującego świat w sposób bezinteresowny, obiektywny i wyrażającego swą intuicję w formie określonej techniką [8]. Mamy tu spostrzeżenie

szczególnie charakterystyczne, dotyczące zarówno stosunku do rzeczywistości (świata), jak i sposobu realizacji tego stosunku.

Próbując dziś odtworzyć elementy procesu twórczego, związanego z szybkim skomponowaniem mojego utworu (około dwóch tygodni łącznie z przepisaniem na czysto), mogę stwierdzić, że miałem znacznie ułatwione zadanie. Stało się to głównie dzięki ograniczeniom fakturalnym, związanym z wyborem instrumentów. Ułatwiło to także stronę realizacyjną zapisu. Tytuł utworu musiałem podać do programu jeszcze zanim utwór zaistniał. W czasie komponowania nie przeprowadziłem żadnych konsultacji z wykonawcami. Pisząc ten utwór jakby w transie, wracałem stale do partii już zapisanych, poddając je autorefleksji, aby uzyskać możliwie zwarty, logiczny przebieg wyrazowy, w możliwie sugestywnej i precyzyjnej formie zapisu. Założony z góry kształt formalny, mieszczący się w trzech fazach wyrazowych: „*Invocazione – Exodus – Funebre*”, dyktował mi wyraźnie nie tylko realizację napięć, dobór środków brzmieniowych, fakturalnych i technicznych, ale też szczegóły zapisu, które podlegały jednak pewnym przekształceniom aż do ustalenia ostatecznej wersji w czystopisie. Mimo że posiadałem wyraźną wizję utworu, trud włożony w jego zapisanie był wielki i wyczerpujący. Do cyzelowania szczegółów popychał mnie stale imperatyw wewnętrzny, prowokujący do nadania kształtu najpełniej wyrażającego zawartą w nim treść przeżyć.

Podane przeze mnie szczegóły mogą być może interesujące dla teoretyków, zajmujących się procesem twórczym, ale nie dają odpowiedzi na pytanie: dlaczego utwór wywołuje takie, a nie inne, reakcje u słuchaczy? Jako teoretyk muszę teraz zadać pytanie: w jaki sposób stało się możliwe czytelne odebranie przez słu-



Luck, Wieża Czartoryskich

Fot. Wikimedia Commons

chaczy treści zawartej w tym utworze? Do wyjaśnienia tego zjawiska może posłużyć powołanie się na znane teorie twórczości.

Idea wyrażania ekspresji istniała w muzyce zawsze, ale zmieniała formy i terminologię. Po raz pierwszy idea ta wystąpiła wyraźnie w okresie renesansu, kiedy powstał termin *musica reservata*. Współczesna forma ekspresji traktuje tzw. natężenie jako źródło mocy twórczej, a nie, jak w okresie romantyzmu, jako źródło twórczości. Jeszcze na początku XX wieku Włoch Benedetto Croce reprezentował ten pogląd. Autor nowszego spojrzenia na ten problem – Robin George Collingwood – uznaje sztukę za uniwersalną i fundamentalną działalność ludzką, domenę czystej wyobraźni. Według niego jest ona pierwotna w stosunku do zdolności myślenia dyskursywnego i wydawania sądów. Uważa on dalej, że doskonałość sztuki nie jest zależna od stopnia wiedzy

i opanowania umiejętności przez twórcę, bo dzieci i twórcy prymitywni osiąga ją piękno w sposób naturalny, łatwy i niezamierzony. Collingwood głosi pogląd, że w rozwoju duchowym człowieka stadium artystyczne jest zawsze wcześniejsze od religijnego, naukowego, historycznego i filozoficznego. Według niego sztuka, będąc działaniem wyobraźni, jest zarazem ekspresją uczuć w języku wyobraźni, a nie jest techniką, magią czy rozrywką. Zdolność do ekspresji posiadają jego zdaniem wszyscy ludzie i jest ona ogólną właściwością świadomości ludzkiej [9]. Teorię Collingwooda poszerzył znacznie Harold Osborne [10].

Po omówieniu w sposób ogólny poglądów dotyczących twórczości wybranych teorii estetycznych spróbuję ustosunkować się do konwencji stylistycznej utworu „Luck-Holocaust” i wynikających z niej możliwości komunikacji między autorem i wykonawcami, a potem ze słuchaczami.

Przypominając wstępne rozważania, zajmę się możliwością zaistnienia przeżycia estetycznego. Poprzez treść karty tytułowej zapewniam tylko pewne ukierunkowanie wyobraźni słuchacza. Umieszczenie podtytułów, faz rozwoju formy jednoczęściowej („*Invocazione*”, „*Exodus*”, „*Funebre*”) jest jednocześnie odbiciem zawartości treściowej, przebiegu napięć w utworze. Daje to odbiorcy możliwość śledzenia programu i dramaturgii dzieła.

W wytworzeniu nastroju adekwatnego do tytułów i komentarza pomocnymi stały się środki muzyczne o znaczeniu archetypów kulturowych [11]. Zaliczam do nich wykorzystanie w utworze określonych instrumentów. Brzmienie organów, kojarzone od wielu stuleci z kościołem, wywołuje nastrój powagi i skupienia. Dźwięk dzwonów w kulturze europejskiej symbolizuje nie tylko sacrum kościoła, ale i dźwięk trwogi. Wzywa na nabożeństwo,

ale i oznajmia o niebezpieczeństwie wywołującym chaos. Dźwięk dzwonów w moim utworze został niejako poszerzony o użycie innych, metalowych instrumentów tworzących paletę pokrewnych barw. Symbolika związana z użyciem instrumentów perkusyjnych membranowych, jak na przykład: werbla, wielkiego bębna, choć łączona tradycyjnie z wojskiem, może mieć dla poszczególnych odbiorców także inne punkty odniesienia. Ich głucho brzmienia mogą też budzić poczucie kontaktu ze ślepą, brutalną siłą miażdżącą. Brzmienie tych instrumentów poszerzam również o kotły, tom-tomy i odmiany werbla. Suche, wyraźne perkusyjne brzmienia instrumentów perkusyjnych może być skojarzone z zarówno z kołatkami wielkopostnymi, jak i odgłosami strzałów. Ich wykorzystanie nie miało na celu ilustracji, lecz stworzenie ogólnego kolorytu, zderzenia dwóch rzeczywistości – jednej bolesnej, drugiej – brutalnej. Różne skojarzenia i nastroje mogą przynieść rodzaje zastosowanych ukształtowań brzmieniowych. W swobodnym wykorzystaniu skali dwunastotonowej, w sposób zależny od potrzeby stworzenia określonych wyrazów gestów, można odnaleźć także odbicie tradycji kulturowych. Interwał kwinty zmniejszonej, pełniący w okresie baroku rolę symbolu żalości i bólesci, w „*Luck-Holocaust*” jest jakością autonomiczną (w notacji pojawia się jako kwarta zwiększona). Stanowi on klamrowe ujęcie całego utworu (dźwięki: G-cis). Do tradycyjnych jakości symbolicznych zaliczam także sekundę małą, w kierunku opadającym i powracającym do dźwięku wyjściowego. Jest to swobodne nawiązanie do „*initium*” pieśni „*Święty Boże*”.

Symboliczną rolę pełni również cytat początkowego fragmentu pieśni wielkopostnej, w wersji zapamiętanej z Łucka: „*Ludu, mój ludu*”, występujący pod koniec „*Invocazione*”. Początek tej pieśni jest naj-

pierw ukryty w głosie środkowym w niższym rejestrze, a następnie wznosi się do rejestru wysokiego na słowach „*Cóżem ci uczynił*” – jak skarga, jak pytanie, kierowane do oprawców. Symboliczną rolę może pełnić także inny gest muzyczny – pierwszego pedałowego dźwięku na początku utworu, przez quasi-pasażowy pochód zagęszczanych i wędrujących coraz wyżej współbrzmień, zakończony klastrowymi akordami. Ten gest może się kojarzyć z krzykiem rozpacz, wyrwywającym się z piersi do nieba. Występujące obok nich „*glissanda*” w kotłach jak i ruch półtonowy mogą być odczytane jako uosobienie jęku, westchnienia cierpiących. Struktury asymetryczne, występujące zarówno w ścisłym zapisie wartości jak i w notacji strukturalnej, ametrycznej, symbolizują niepokój przebiegu, podkreślany przez środki artykulacyjne i dynamiczne. Wprowadzane środki kontrastu służą natomiast budowaniu dramaturgii przebiegu. W „*Exodus*” – najdłuższej fazie utworu można jeszcze zauważyć dodatkowe elementy konstrukcji, jak: formotwórczą rolę rytmu i barwy. Polifonizujące prowadzenie głosów w partii organów, jak i perkusji, przy jednoczesnym aleatorycznym nałożeniu barw, tworzy wielopłaszczyznową grę zdarzeń, których interpretację znaczeniową pozostawiam słuchaczom. W „*Funebre*”, ostatniej fazie utworu, symboliczną rolę marsza żałobnego może pełnić quasi-ostinatowa pulsacja, zakłócona interwencjami perkusji. Dźwięk łańcuchów w „*Epilogu*” może mieć dla niektórych symboliczne konotacje jako wyobrażenie kajdan, jest jednak elementem brzmieniowym, pełniącym swą rolę w kreowanej przez wykonawców formie. W tym momencie symboliczny Polak (w wykonaniu inscenizowanym ze światłami) wychodzi z miejsca akcji, potrząsając kajdanami i dodając znaczenia tej scenie, utożsamia-

jąc się z losami wielu ujarzmionych narodów. Każda wersja wykonawcza może wywoływać różne skojarzenia.

Przedstawione wyżej symbole mogą być odbierane w sposób świadomy lub podświadomy. Odkryte wartości estetyczne przy słuchaniu utworu będą jednak zasługą osobowości słuchaczy i ich zdobyczą. Bardziej wykształceni muzycznie mogą mieć znacznie więcej punktów odniesień. Wielowarstwowa analiza teoretyczna przyniosłaby odpowiedzi na pytania dotyczące prawidłowości konstrukcyjnych utworu i muzycznej logiki przebiegu. Jednakże to Stanisław Moryto i Stanisław Skoczynski swoją kreacją zdecydowali ostatecznie o estetyce wyrazu, a słuchacze reagowali spontanicznie. Również wersja zarejestrowana na taśmie, a odtwarzana nie tylko w Polsce, budziła wiele emocji w czasie słuchania utworu. Stała się ona tym samym – mówiąc za Hartmannem – bytem niezależnym, zarówno od twórcy, jak i wykonawców, jako rejestracja niepowtarzalnego aktu kreacji. Jako kompozytor muszę więc przyznać, że przeżyte przez mnie w dzieciństwie zdarzenia poprzez ich transformację na zdarzenia muzyczne osiągnęły stan abstrakcyjnego, luźnego obiektu, w którym słuchacze mogą odnaleźć odbicia własnych przeżyć, bez potrzeby bliższego poznawania źródła inspiracji twórcy. W ten sposób indywidualizacja aktu twórczego dotyczącego Łucka stała się zobiektywizowaną rzeczywistością artystyczną. Może ona dotyczyć każdego miasta, narodu i człowieka, jako ciągle odradzająca się ofiara istnień podanych przemocy.

Ryszard M. Klisowski

Przypisy:

[1] Łuck, stolica województwa wołyńskiego, miasto położone na półwyspie ob-



lanym wodami Styru. Łuck powstał według legendy w VII wieku. Kroniki wymieniają go w XI wieku jako stolicę księstwa. Gościło tu wielu polskich królów, poczynając od Bolesława Chrobrego. Nad miastem unosi się potężny zamek Lubarta z XIV wieku. W 1429 roku odbył się tu zjazd europejskich monarchów. W XVI wieku Łuck znajdował się w sercu Rzeczypospolitej. Nazywano go wołyńskim Rzymem. Łuck przeżył zabory i prześladowania carskie. Odrodził się, jako polskie miasto w 1918 roku. Działy tu dwa biskupstwa katolickie i prawosławne, funkcjonowały ponadto: świątynia karaimów, zbór ewangelicki i synagoga. Z Łucka wywodziło się wiele znanych postaci historycznych. Mieszkał tu J.I. Kraszewski, na Krasnem, na przedmieściu Łucka urodził się Alojzy Feliński, poeta i sekretarz Tadeusza Kościuszki. Katedra łucka została zbudowana przez biskupa Marcina Szyszkowskiego w połowie XVII wieku. Po pożarze w 1724 roku przebudowano ją w stylu barokowym. Synagoga została zbudowana na początku XVII wieku za zgodą króla Zygmunta III Wazy, pod warunkiem zbudowania wokół obronnego fortu z armatą i obsługą, którą musieli utrzymywać sami Żydzi.

[2] „Rocznik Ziemi Wschodnich”, red. Edward Rühle, wyd. r. V, Warszawa 1939.

[3] Władysław Klisowski, „Starsze harcerstwo na Wołyniu. Udział w ruchu oporu AK”, Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, Oddział Rękopisów, maszynopis, Warszawa 1978, sygn. 15029-11, s. 107-144; Eugeniusz Rachwalski. „Była taka broń. Łączność Okręgu Wołyń i 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej 1942-1944”, Wrocław 1993. s. 22.

[4] „Papieżowi Janowi Pawłowi II i ofiarom zbrodni dokonanych na wielonarodowej ludności Łucka przez Hitlera i Stalina z prośbą o modlitwę za dusze ofiar”.

[5] Roman Ingarden, „Przeżycie. Dzieło. Wartość”, Kraków 1966.

[6] Nicolai Hartmann, „Aesthetik”, Berlin 1966.

[7] Maria Gołaszewska. „Zarys estetyki”, wyd. III. Warszawa 1966.

[8] Edgar de Bruyne, „Esquisse d'une théorie de l'art”, Bruksela 1930.

[9] Robin George Collingwood, „The Principles of Art”, London 1963; „Autlines Philosophy of Art”, London 1925.

[10] Harold Osborne, „Aesthetics and Criticism”, London 1955.

[11] Leonard B. Meyer, „Emocja i znaczenie w muzyce”, Kraków 1974.

Pierwodruk: Ryszard M. Klisowski, „«Łuck-Holocaust» – od przeżyć wojennych do kształtu brzmieniowego”, [w:] „Ekspresja formy – ekspresja treści. Marianowi Borkowskiemu w siedemdziesięciolecie urodzin”, Warszawa 2014, s. 194-204.

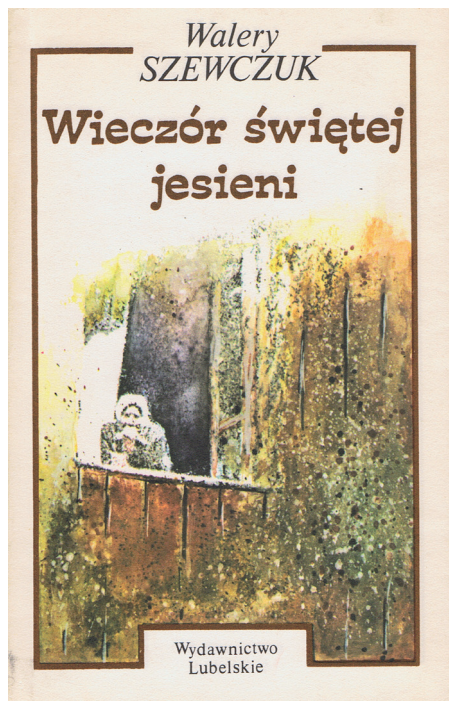


Literatura - Airepatypa

OJCIEC DOBRODZIEJ

Ojciec dobrodziej jeszcze i teraz wychodził do furtki i wspierając się o niewysokie ogrodzenie, patrzył na drogę. Po tej drodze jeździli i chodzili wieśniacy z podmiejskiej wsi. Dzieci i kobiety grzecznie podchodziły do niego, całowały starczą rękę. Ale to zdarzało się bardzo, bardzo rzadko. Teraz, kiedy na ziemię spadły deszcze, kiedy droga przeobraziła się w lepkie bagnisko, pop zamykał się w swoim pokoju, odczuwał samotność i smutek. Kartkował Pismo Święte, ale wszystko było tam aż nadto znane. Odkładał książkę i siadał koło ciepłej ściany, gdzie można było spokojnie podzierać. I wtedy przychodziła do niego przeszłość, taka dawna i już niemal nierealna. Kołysały się wesołe dzwony, tłumy wiernych walały się jaskrawym barwnym tłumem. Tak mijał dzień, a następnego ranka ojciec dobrodziej zakładał na sutannę szary, podgumowany płaszcz i z wysiłkiem wzuwał ciężkie buty, twarde postanowienie rozgrzewało jego piersi, i wychodził na deszcz. Krople bębniły o krawędzie kapelusza, słała się atmosfera chłodnego przynębienia. Musiał przejść przez kładkę na rzeczce, dalej przez wikliny pod górkę, a potem śliską, gliniastą ścieżką. Cerkiew zarosła akacjami, ale on jeszcze z daleka widział jej niewielki zielony dach. I w piersiach pojawił się ten szczególny zapach, który zaczął go nawiedzać od niedawna. Ojciec dobrodziej ślizgał się po glinie, wspierał na lasce, a deszcz rozbijał się o jego płaszcz i kapelusz. Było mu już ciężko wstawać z łóżka wcześniej rano, ale wstawał i szedł; choć słońca oślepiła oczy, a pod nogami chlupało rozkiste bagno.

Stróż całował go w rękę, a on błogosławił go, myśląc jednak o swoim. Stróż



widział, że ojciec dobrodziej jest zafraszony i nie narzucał się. Szedł do swego budyneczku, gdzie jeszcze o tej porze spała jego korpulentna połowica, a na podłodze kotłowało się trzech umorusanych chłopców.

– Wstałaś – burczał. – Ojciec dobrodziej właśnie z miasta przyszedł.

– Bo głupi ten twój ojciec dobrodziej – poziewywała żona.

– Psst! – jego twarz stawała się zacięta. Żona milkła, bo wiedziała, że takie spojrzenie nie wróży nic dobrego.

Ojciec dobrodziej przemierzał pustą cerkiew, wyciągał kieszonkowy zegarek i patrzył na ozdobne wskazówki za ciem-

nym szkłem.

„Zupełnie przestali chodzić do cerkwi”

– mamrotał zapalając świeczki koło ołtarza.

– Nikogo z ludzi nie było? – pytał stróża.

– Nie było, ojcie dobrodzieju. Czy to teraz są ludzie? Jeszcze kiedy słońce, to przywlecze się do cerkwi, a w deszcz nawet batem nie zapędzisz. To, wybacz, Panie, ścierwo – nie ludzie.

Znali się od dawna, wiedzieli, że w pewnych wypadkach trzeba mówić. Wyblakłe oczy duchownego już zapalały się mrocznym światłem tamtego świata i stróż zaczynał bać się deszczu i chybliwych cieni w cerkwi, i tego światła. Jego prostacka, chłopska twarz nieruchomiała w półmroku, nie mógł oderwać wzroku od energicznej postaci duchownego. A ten podchodził do ołtarza i padał z marszu na kolana, unosił do góry zarośniętą siwymi kosmykami twarz i zaczynał się modlić, opętańczo, wściekle. Jego oczy przekształcały się w dwa czarne ogniska i stróżowi wydawało się, że gdyby się w nie dostało, uległoby się spopieleniu. Ale cierpliwie czekał, kiedy ojciec dobrodziej skończy modły, bo tak między nimi było przyjęte. A ojciec dobrodziej bił pokłony i mamrotał suche modlitwy, od których potrzaskiwały drewniane ściany świątyni i drżał płomień świec. A kiedy podnosił do góry ręce z zaciśniętymi starczymi pięściami, stróż żegnał się ukradkiem znakiem krzyża. Wtedy rozlegał się czysty, o metalicznych nutkach głos:

– Jestem ostatnim wierzącym na tej ziemi... „Mimo wszystko nasz ojciec dobrodziej jest chyba trochę nienormalny” – myślał stróż.

Deszcz wpelzał także do jego duszy, wywołując w niej głęboką, cichą nostalgię. W takich chwilach stróż miał ochotę się napić. Poszedłby chętnie w gości do

starej Tekli, gdyby poczucie obowiązku nie trzymało go tutaj.

Pop uspokajał się przez pół godziny. Na czole lśniły mu krople potu, oczy tonęły w szarym zmęczeniu.

– Załatałeś dach koło dzwonnicy? – pytał.

– Załatałem – kłamał stróż.

– Koło dzwonu przegniła belka, widziałeś?

– Widziałem.

– Trzeba zawołać cieśnię i zmienić.

„Spróbuj zmienić – myślał stróż. – *Jakby to była taka prosta sprawa*”.

– Mówiłem już staroście cerkiewnemu.

– Dlaczego on nie przyszedł na służbę?

– Nie zawsze można – stróż przestępował z nogi na nogę.

– Dlaczego? – surowo zapytał duchowny.

– Mieszka za gliniankami – już po raz setny powtarzał stróż. – Można się tam łatwo utopić w taką okropną pogodę.

– Ale to nie musi być przeszkodą...

– Dla jednego musi, a dla innego nie. Teraz ludzie są tacy.

Osoby duchownego znowu rozżarzyły się światłem tamtego świata. Deszcze oddziaływały i na niego, wywołując w głębi jestestwa tępą melancholię, z którą nie zawsze miał siłę sobie poradzić.

– Sprzątałeś dzisiaj świątynię?

– Sprzątałem.

– Dobrze. Idź.

Stróż drapał się po głowie porośniętej popielatymi włosami. Chciał zaproponować ojcu dobrodziejowi, żeby nie chodził w taką pogodę, bo to już lata nie te i wszystko może się przydarzyć, ale nie miał odwagi. Odwracał się niezgrabnie przestępując z nogi na nogę i duchowny patrzył na jego szerokie, obciążone korpusem [*] marynarkę plecy.

„Coś stało się i tam, na górze – myślał – jeżeli ludzie tak nagle się zmienili”.

Przecież setki lat trzymała się na tej ziemi wiara, a teraz poruszane zostało coś u podstawy podstaw. Wychodził na deszcz i stał długo patrząc na przyprószone mgłą mżawki chałupy. Ogarniało go poczucie marności, które dołączało do melancholii, i duchowny czuł się beznaście stary...

Znowu człapał liniastą ścieżką, grzęznąc ciężkimi butami w błocie. Chciał już dobrnąć do swego domu, rozpalić piec i przytulić do niego zmęczone plecy. Przychodził do swego pokoju i długo siedział w mroku, czując, jak ziębną i drętwieją ręce. Wtedy dreptał do szopy, brał naręcze drzew i niósł przez bajorowate podwórze. Deszcz bił po palcach, a suche drewno zachłannie chłonoło wilgoć. Duchowny rzucał drewno, i polana z turkotem rozsypywała się po podłodze. Rozpalał piec i dotąd, dopóki huczał ogień, strzelając jaskrawymi iskrami, rozmyślał długo i tępo. O swoim życiu, o deszczu, o samotności. Nowy atak czerni zniewalał jego duszę i mózg. I w tym mroku, wśród deszczu i ciemności ożywały cienie. Poruszała się jego broda, poruszały włosy na głowie, nos, usta, a nawet zmarszczki na czole. Tylko spojrzenie pozostało nieruchome. Myśli początkowo wylatywały z mózgu pozostawiając po sobie pustkę. Wydawało się, że wszystko znika: pokój, deszcz i świat. Dopiero kiedy dopalały się drwa, duchowny zaczynał odzywać. Podnosił się, brał z szafki butelkę wódki, kielbasę szynkową pokrojoną w plasterki i siadał do stołu. Nalewał kieliszek i pił. Długo przeżuwał kielbasę, a mętny wzrok błędził w półmroku panującym w pokoju. Wyciągał nad stołem szczupłą, zadbaną rękę, światło padało na nią i oświetlało sine, starcze paznokcie. Duchowny mieszał wódkę, ponownie nalewał kieliszek i podnosił do ust. Ciecz rozchlapывwała się na serwetę, ale on nie zwracał na to uwa-

gi. Świat mętniał dokoła, chwiał się i rozmiękał. Kiedy butelka była już pusta, pop podnosił się i walił się na kolana. W jeden z takich wieczorów przyszła mu do głowy decyzja...

Obudził się wcześniej rano i długo myślał o tym, co się stało. Podkraśla się już znajoma samotność. Była w czymś podobna do deszczu, który i teraz szumiał za drzwiami. Ranek przypominał chorego. Pop z obrzydzeniem spojrzął na brudny stół, ale nie posprzątał. Uczesał się i przywarł brodą do zachlapanej szyby. Mokra droga lśniła stalowo, a nad rzeczką kłębiła się wilgotna, ciężka mgła. Wylaniały się z niej drzewa o zastygłych, szarych gałęziach, rzeczka dymiła opatulając oparami ciemnożółte kładki. W pokoju też było wilgotno – nie rozpalił pieca – i chłód strzykał mu w kolanach. Długo patrzył na ciemną postać, która obchodziła kałuże, podrygując jak kot to na jednej, to na drugiej nodze i jego spojrzenie znowu napełniło się czernią. Jeszcze bardziej utwierdził się w swojej decyzji. Pośpiesznie zapiął podgumowany płaszcz i wyszedł na deszcz. Ciężko było stawiać nogi, do podeszew przyklejała się ziemia, ale on czuł w sobie siłę. Siła płynęła z serca, napełniała mózg. Palce ścisnęły rączkę laski. Zatrzymał się na kładce, obrzucił spojrzeniem szereg zaspanych budynków. Zrobiło mu się wesoło, bo znowu wspominał o swej decyzji. Był to bardzo udany pomysł, dziwił się, że wcześniej nie przyszedł mu do głowy. Omal się nie zezłościł, kiedy zobaczył na drugim brzegu człowieka. Człowiek był opatulony płaszczem i nisko pochylał się nad niewielkim stolikiem.

„Malarz – omal nie zaklął pop. – *Przyniosła go siła nieczysta!*”

Zaczął się wspinać pod górę, ciężko wspierając na lasce, a nostalgia szła w ślad za nim, czepiając się ramion i zgina-

jąc je do dołu. Ale zawziętość była silniejsza.

Stróż jak zawsze czekał na niego koło drzwi.

– Maksymie – pop wesoło popatrzył na swego najwierniejszego sługę. Było to zaskoczenie dla stróża. A do tego wczoraj nie wytrzymał i zajrzał do Tekli – teraz bolała go głowa i drżały kolana. – Byli ludzie?

– Jeszcze nie – ich rozmowa wchodziła na zwykłe tory, i stróż zaczął się uspokajać.

– I dobrze, że nie – pop znowu go zaskoczył.

– Teraz tacy ludzie... – zaczął swoje stróż.

– Wejdiesz na dzwonicę – pop uważnie spojrzał na stróża i ten poczuł, jak zakłuło go w boku. Oczy duchownego już napływały czernią, która go tak lękała i wabiła. – Wejdiesz na dzwonicę i uderzysz na nabożeństwo poranne.

– Ale przecież – stróż zawahał się – przewodniczący rady gromadzkiej zabronił dzwonić...

Oczy popa rozszerzyły się jeszcze bardziej: stróż czuł, jak kurczy się jego dusza, a strach zaczyna łaskotać pięty.

– Wejdiesz na dzwonicę – wolno powtórzył pop – i uderzysz na uroczyste nabożeństwo poranne.

Stróż podrapał się wszystkimi pięcioma palcami po popielatej głowie i powlókł się do drabiny.

Nad cichą wsią potoczyły się dźwięki, pełne i mocne, od których zdążono już odwyknąć. Stróż nagle zrozumiał ojca dobrodzieja, raczej wyczuł jego nastrój i przejął się. Dzwonił tak jak wiele lat temu, kiedy był jeszcze młodym chłopakiem, którego przygarnęła cerkiew i który z całej siły usiłował odwdziżyć się za to niespodziewane ciepło, jakiego mu udzielono. Dzwon przełamywał zadeszczoną przestrzeń, przełamywał jesienną monotonię. Żółte dźwięki toczyły się pomiędzy żółtymi liśćmi, między chałupami i żółtymi chlewami. I ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem, przerywając robotę, babcie zaczynały się żegnać znakiem krzyża, a ich starcze mózgi w żaden sposób nie mogły zrozumieć tego wydarzenia. Ponury chłop, który wybierał gnój spod krowy, wsparł się na widły i tylną w stronę cerkwi: „Powściekali się czy co?” Kilka babć zbierało się już pospiesznie. Nie miały siły myśleć, w duszach ożyły stare instynkty, wyssane z mlekiem matki, i teraz krzątały się, szukając kufajki lub chustki.

– A gdzie to się wybieracie, mammo? – pytały synowe i synowie.

– Co to, nie słyszycie – uwijały się babcie. – Święta cerkiew wzywa.

– Chyba zgłupiałyście, żeby w taką pogodę iść do tej cerkwi?

Ale babcie nie słuchały, trzaskały drzwiami, i wyskakiwały na deszcz. Kil-



ka dziadów uniosło zmęczone głowy. Ale za oknami chlupotała ulewa i wydało im się, że i ten dzwon, i ten deszcz to tylko sen, znajomy, ale za bardzo głęboki, żeby się obudzić.

„Zabroniłem im mącić ludziom w głowach” – pomyślał przewodniczący rady gromadzkiej.

Nie poszedł dziś do pracy, bo i tak nie byłoby żadnej roboty w taki deszcz i postanowił się wyspać. A sen podsycony deszczem był silniejszy od obowiązku służbowego i przewodniczący znowu zasnął. Śniły mu się miedziane wozy, które głośno turkotały po brukowanej miedzią ulicy.

„Potem to zbadam” – uspokoił sam siebie.

Stróż przestał dzwonić, bo wiatr raptownie sieknął deszczową falą i to go otrzeźwiło. Zszedł na dół. Ojciec dobrodziej klęczał i nieprzerwanie bił pokłony. Miał przygarbione plecy i stróżowi zrobiło się go nagle żal.

– Jestem ostatni wierzący na tej ziemi – powiedział duchowny i jego słowa odbiły się echem w głuchej pustce.

„Nie – ze smutkiem myślał stróż, czując, że się rozczula. – *Ja-też jestem z tobą*”.

– W oczach zaszkliły mu się łzy.

– Dobrze dzwoniłeś.

– Gdzie tam dobrze. – Stróż machnął ręką.

– Ludzie idą? – zapytał ojciec dobrodziej, patrząc na niego uważnie.

Stróż podłubał czubkiem buta w podłodze, sięgnął brązową dłonią do włosów, ale opuścił rękę.

– Idą – powiedział niepewnie.

– Dużo?

– Katrię widziałem, Mokrynę, no i Wiwidię... Duchowny patrzył na stróża uważnym wzrokiem.

Zaczęła w nim narastać czerń, od której zimno robiło się na duszy.

– Dobrze – powiedział duchowny. – Dobrze. Odwrócił się i powoli podreptał w kącie, gdzie od dawna wisiały znajome obrazy. Popatrzył w oczy Syna Bożego – duże, ciemne, oliwkowe. Zawsze odnajdywał w nim wyraz siły tamtego świata – ale nieraz z przerażeniem odczuł, że zewsząd, z dołu, z góry, z lewej i z prawej strony, nasuwała się na niego straszna, wilgotna jak deszczowe powietrze, lepka i bezkresna jak jesień, pustka. Powoli opuszczył się na kolana i uniosł głowę do góry. A z oczu buchnął czarny ogień. W tym ogniu spopieliał się i mrok źle oświetlonego pomieszczenia, i ściany z namalowanymi postaciami dawnych bojów, i cały ten przepełniony nieskończonym spadaniem niebieskawych kropelek świat. – Jestem ostatni wierzący na tym świecie...

Walery Szewczuk

[*] Kort (ang. cord – sznur) – ciężka tkanina o złożonym splocie używana na ubrania i płaszcze (przyp. tłum.).

Walery Szewczuk, „Wieczór świętej jesieni”, tłum. Elżbieta Raczyńska-Mraczek, Wydawnictwo Lubelskie – Lublin 1989, s. 143-151.



Biskupi łuccy - Луцьки Єпископи

KASPER KAZIMIERZ CIECISZOWSKI

1798-1828

Kasper Kazimierz Cieciszowski urodził się 5 stycznia 1745 w Ozorowie w ziemi liwskiej (wschodnie Mazowsze; jako syn podczaszego liwskiego Dominika i Marcjanny z Suffczyńskich. Ochrzczony został 12 stycznia 1745 w pobliskim kościele parafialnym w Wodynie (ówcześnie diecezja poznańska). Ród Cieciszowskich (Cieciszewskich) herbu Roch III^o (Kolumna) wywodził się z Cieciszewa w ziemi czerskiej i zaliczał się do średniozamożnej szlachty mazowieckiej, nie odgrywając aż do połowy XVIII w. znaczącej roli w życiu politycznym kraju. Wydał on w czasach nowożytnych kilku duchownych – w tym gronie m.in. dwóch kanoników poznańskich (obaj o imieniu Mikołaj) i jezuitę Wojciecha – kolejno kaznodzieję króla Jana II Kazimierza, prowincjała litewskiego, wreszcie spowiednika i teologa nadwornego króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Znaczący awans rodu był zasługą dopiero właśnie pokolenia Kaspra Kazimierza. On sam osiągnął w r. 1775 godność biskupia, natomiast jego brat Adam był w latach 1730-1783 pisarzem wielkim koronnym. Drugi z braci Kaspra Kazimierza – Ignacy, wyróżniony przez króla w r. 1787 Orderem św. Stanisława, poprzestał na urzędzie podkomorzego litewskiego, natomiast jego syn Jacenty był szambelanem Stanisława Augusta Poniatowskiego. Siostra biskupa – Antonina, wyszła za mąż za Franciszka Szelutę, jej zaś wnukiem był słynny XIX-wieczny historyk Joachim Lelewel. Sławniejszy wszakże okazał się prawnuk wspomnianego Adama Cieciszowskiego (brata Kaspra Kazimierza) – pisarz Henryk Sienkiewicz, laureat literackiej Nagrody Nobla.

Przyszły pasterz diecezji łuckiej i żytomierskiej stosunkowo dość wcześniej obierał stan duchowny (czy też raczej został do

nego przeznaczony). Formacji kapłańskiej nie odbywał jednak w którymś z seminariów krajowych, lecz już w r. 1760 wyjechał wprost do Rzymu, gdzie przyjęty został w poczet alumnów Seminarium Kongregacji Rozkrzewiania Wiary (de Propaganda Fide), które kształciło głównie przyszłych misjonarzy. Faktycznie też w tych latach było gorącym pragnieniem Cieciszowskiego poświęcić się pracy misyjnej na Wschodzie. Pod sam koniec r. 1762, 18 grudnia, przyjął on tonsurę i niższe święcenia. Tamże w Wiecznym Mieście wyświęcony też został kolejno na subdiakona (17 grudnia 1768), diakona (18 lutego 1769) i prezbitera (11 marca 1769). Szafarzem święceń kapłańskich w jego przypadku nie mógł być – jak utrzymują niektórzy badacze – papież Klemens XIII, bowiem zmarł on 2 lutego 1769, a jego następcą wybrany został dopiero 19 maja t.r. Jeszcze też 15 grudnia 1768 przypadł młodemu Cieciszowskiemu kanonikat w warszawskiej kapitule kolegiackiej, której członkiem był również dalszy kuzyn jego ojca – kanonik Mikołaj Cieciszowski, a w r. 1770, po powrocie z Rzymu, także probostwo w Zbuczynie (w diecezji krakowskiej). Ze studiów przyszły biskup wyniósł lepszą lub gorszą znajomość języków łacińskiego, greckiego, hebrajskiego, włoskiego, francuskiego, rosyjskiego i niemieckiego.

Do kraju Kasper Kazimierz Cieciszowski powrócił w r. 1769, a już po niespełna sześciu latach przybrany został na koadiutora przez ordynariusza kijowskiego Franciszka Kandyda Ossolińskiego. Król Stanisław August zgodę na koadiutorię dla młodego duchownego wyraził 13 marca 1775, a 29 czerwca t.r. nowoobраниy papież Pius VI, po procesie informacyjnym przeprowadzonym przez nuncju-

sza Józefa Garampiego, prekonizował go biskupem tytularnym Theveste i koadiutorem z prawem następstwa przy Ossolińskim. Udzielił mu przy tym dyspensy od posiadania stopnia naukowego (widać studiów rzymskich Cieciszowski takowym nie uwieńczył) i zezwolił na zachowanie kanonikatu w Warszawie oraz probostwa zbuczynskiego. Liczący sobie w chwili swej nominacji 30 lat tytularniusz Theveste sakrę otrzymał 8 października 1775 w warszawskiej kolegiacie św. Jana Chrzciciela z rąk biskupa poznańskiego Andrzeja Stanisława Młodziejowskiego oraz ordynariuszy chełmskiego Antoniego Onufrego Okęckiego i smoleńskiego Gabriela Wodzyńskiego. W r. 1780 objął Cieciszowski funkcję oficjała warszawskiego (ówcześnie w strukturach diecezji poznańskiej), a w rok później monarcha oddał mu w komendę prepozyturę bożogrobców w Miechowie (1781).

Dnia 7 sierpnia 1784 zmarł biskup Franciszek Kandyd Ossoliński i jego dotychczasowy koadiutor został nowym ordynariuszem diecezji kijowskiej (rządy objął kanonicznie 8 października 1784, której stolica, jak też znaczna część terytorium, od ponad wieku pozostawała pod panowaniem rosyjskim. Rolę biskupiej stolicy pełnił tymczasowo Żytomierz i do tamtejszej prokatedry św. Zofii odbył Cieciszowski 16 lipca 1785 uroczysty ingres. Już jednak po ośmiu latach i ta część diecezji kijowskiej, wraz z Żytomierzem, znalazła się wskutek II rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów (1793) w obrębie Imperium Rosyjskiego, a w r. 1795 cesarzowa Katarzyna II dokonała samowolnej reorganizacji struktur administracji terytorialnej Kościoła katolickiego na ziemiach zabranych – bez oglądania się na Stolicę Apostolską. Zniosła wówczas diecezję inflancką, kamieniecką, kijowską, łucką i wileńską, w miejsce których ustanowiła niekanoniczne biskupstwa inflanckie (ze stolicą w Wilnie), pińskie i latyczowskie. Spośród nich to drugie (z ośrodkiem w Żytomierzu) powie-

rzyła właśnie Kasprowi Kazimierzowi Cieciszowskiemu. Jednakże już 17 listopada 1796 nastąpiła śmierć rosyjskiej cesarzowej, a jej syn i następca Paweł I wycofał się niebawem z podjętych przez nią niegdyś decyzji w przedmiocie wewnętrznej organizacji Kościoła katolickiego w Imperium Rosyjskim i przywrócił (w r. 1798) stan istniejący przed tamtymi zmianami. Ówże rok 1798 przyniósł zresztą nową reorganizację, tym wszakże razem usankcjonowaną, przez Stolicę Apostolską. Wszystkie dotychczas istniejące diecezje (zniesiono tylko inflancką i smoleńską) zyskały wówczas nowe granice, a stolica biskupstwa kijowskiego już trwale została przeniesiona do Żytomierza. Na podstawie dekretu delegata apostolskiego, nuncjusza Wawrzyńca Litty, „*Ad maiorem fidei catholicae*” z 7 sierpnia 1798, bardzo okrojona pod względem terytorialnym diecezja łucka (wakująca od dwóch lat) połączona została unią aequę principaliter (tj. na równych prawach) z diecezją żytomierską (dotychczasową kijowską), które obie miały odąd posiadać wspólnego ordynariusza (stan taki utrzymał się do r. 1925). Zmianie uległa także przynależność metropolitalna Łucka i Żytomierza, które włączone zostały wówczas w obręb nowoerygowanej metropolii mohylewskiej. Pierwszym biskupem tychże połączonych stolic został dotychczasowy ordynariusz kijowski Kasper Kazimierz Cieciszowski, który 26 września 1798 odbył – w nowym charakterze – uroczysty ingres.

Rządy pasterskie Cieciszowskiego w Łucku trwały trzy dziesięciolecia. Już w r. 1803 przesłał on do Stolicy Apostolskiej relację o stanie powierzonych sobie dwóch diecezji (zredagowana została ona – co warto odnotować – w języku włoskim, podczas gdy poprzednie, z doby staropolskiej, po łacinie). Podjął też wówczas zabiegi o nowego sufragana, którym został ówczesny prepozyt łuckiej kapituły katedralnej i wikariusz generalny diecezji Jan Kanty Bożydar Podhorodeński, z tytułem

nominata występujący jeszcze na jesieni 1803 r., niemniej prekonizowany dopiero 20 sierpnia 1804. Tenże sam dzień zapisał się w dziejach lokalnego Kościoła prekonizacją także koadiutora dla sześćdziesięcioletniego Cieciszowskiego w osobie Hieronima Strojnowskiego – niegdyś pijara i profesora warszawskiego Collegium Nobilium, ówczasnie zaś kanonika i rektora Szkoły Głównej w Wilnie. Sakrę biskupia przyjął on wszakże dopiero 19 stycznia 1808 (w Łucku), w którym to roku powierzona mu została funkcja administratora wakującej diecezji wileńskiej. Ostatecznie jej właśnie ordynariuszem (a nie łucko-żytomierskim) został w r. 1814, zaś ledwie w rok później zmarł. Tym samym jego spodziewane następstwo po biskupie Cieciszowskim nigdy nie miało doczekać się realizacji. Trzeba było oczekiwać dalszych jeszcze kilkanaście lat, nim dopiero 3 lipca 1826 prekonizowany został nowym koadiutorem ordynariusza łucko-żytomierskiego archidiacon kapituły katedralnej w Łucku Michał Piwnicki. On też faktycznie objąć miał po nim w niedługim czasie następstwo. W tych latach przebywał w diecezji łuckiej jeden jeszcze biskup, ordynariusz miński Jakub Ignacy Dederko – niedoszły sufragan przy Adamie Naruszewiczu. Z rozkazu cesarza Aleksandra I pozbawiony zarządu powierzony sobie diecezji, został w r. 1816 z niej w ogóle usunięty i wydalony do Ołyki, gdzie miał przebywać odtąd pod nadzorem ordynariusza łucko-żytomierskiego. W Olyce spędził Dederko ostatnie trzynaście lat życia i tam też zmarł 13 lutego 1829 – już pod rządami Michała Piwnickiego.

Ukazem cesarza Mikołaja I z 28 lutego (27 marca) 1827 został Kasper Kazimierz Cieciszowski wyniesiony na wakującą stolicę metropolitalną w Mohylewie. Prekonizacja ze strony papieża Leona XII nastąpiła dopiero 23 czerwca 1828, z którym to dniem dotychczasowym koadiutor Cieciszowskiego został ordynariuszem łucko-żytomierskim. Nowy arcybiskup metropolita, liczący sobie 83 lata, nie był

już jednak w stanie sprawować powierzony mu funkcji, zarząd archidiecezji zdał tedy na prekonizowanego tegoż samego dnia 23 czerwca 1828 sufraganem mohylewskim Joachima Józefa Grabowskiego (po jego rychłej śmierci w styczniu 1829 r. funkcję administratora objął prałat Jan Feliks Szczyt), sam zaś wyjechał sobie u cesarza zgodę na dalsze rezydowanie w Łucku. Cesarz zezwolił również, aby miał sędziwy metropolita zastępcę i na stanowisku prezesa Rzymskokatolickiego Collegium Duchownego w Sankt Petersburgu, którym został właśnie biskup Michał Piwnicki. W ostatnich latach życia Kasper Kazimierz Cieciszowski utracił zarówno wzrok, jak i władzę w nogach, wszelkieleż zatem jego uczestnictwo w życiu kościelnym i publicznym stało się fizyczną niemożliwością.

Zmarł 36-letni metropolita mohylewski po drugiej chorobie dnia 28 kwietnia 1331 w Łucku – w burzliwym czasie trwającego w Królestwie Kongresowym powstania listopadowego. Czterdziestoletni wówczas poeta i pisarz Kajetan Koźmian zanotował w późniejszym okresie w swych pamiętnikach: *“Znałem [...] tego świętobliwego biskupa. [...] Zdawało mi się, że widzę przed sobą Ambrożego lub Tertuliana – z całym urokiem świętobliwości, jaką słusznie nie tylko u chrześcijan, lecz i u Izraelitów sływał, i był celem powszechnego uwielbienia. Był to ideał prawdziwy arcykapłana”*. Pochowany został Kasper Kazimierz Cieciszowski w katedrze łuckiej ŚŚ. Piotra i Pawła, w której monument nagrobny wystawił mu następca, biskup Michał Piwnicki.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, *„Sylwetki biskupów łuckich”*, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 169-173.]

